MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 7. (6 skonfiskowany) WARSZAWA, 7 LUTEGO 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

POKÓJ OD WSCHODU

SPRAWA PAKTU o nieagresji pomiędzy Sowietami i Polską ma swoją długą i niezupełnie wyjaśnioną historję. Już w roku 1926-tym zwróciły się Sowiety do rządu polskiego z propozycją rozpoczęcia rokowań i przedłożyły swój projekt paktu. Rząd polski w odpowiedzi notyfikował zgodę na rokowania i przesłał sowieckiemu komisarzowi spraw zagranicznych projekt traktatu o nieagresji w redakcji polskiej.

Ponieważ sowiety uznały projekt polski dla siebie za nieodpowiedni i ponieważ Warszawa nie kwapiła się ze zmianą swojego stanowiska, układy utknęły na martwym punkcie i powoli poszły w zapomnienie.

Dopiero w lecie ubiegłego roku, kiedy Sowiety rozpoczęły rokowania o pakt o nieagresji z Francją i kiedy negocjacje te zaczęły się zbliżać ku pomyślnemu końcowi, minister pełnomocny Patek wręczył sowieckiemu komisarzowi spraw zagranicznych Litwinowowi notę, w której rząd polski proponował dalsze prowadzenie układów i zaznajamiał Moskwę ze swojem nowem stanowiskiem w tej kwestji. Dokoła noty ministra Patka wszczęła się żywa polemika, gdyż zarówno komisarz Litwinow jak i prasa sowiecka utrzymywali zgodnie, że wystąpienia polskiego nie można uważać za wznowienie rokowań i że, wbrew opinji p. Patka, wyrażonej w rozmowie z przedstawicielami prasy w Warszawie, nowy projekt polski paktu wcale nie istnieje.

Pomimo tych oświadczeń nota polska zaniepokoiła bardzo wyraźnie opinję i dyplomację niemiecką. W Berlinie niedwuznacznie zaczęto przypominać Rosji o jej zobowiązaniach, wypływających z traktatu berlińskiego i wyrażać swoje niezadowolenie z postawy rządu sowieckiego.

Zmusiło to komisarza Litwinowa do szeregu uspakajających oświadczeń, w których zapewniał opinję niemiecką o bezpodstawności wszelkich obaw i uprzedzał, że gdyby nawet przyszło do zawarcia paktu polsko-sowieckiego, nie będzie to krokiem, wymierzonym przeciw interesom niemieckim.

W międzyczasie nastąpiły poważne zmiany w układzie sił politycznych i gospodarczych świata. Kryzys w Stanach Zjednoczonych, załamanie się funta angielskiego, trudności gospodarcze Niemiec wysunęły Francję na czoło państw europejskich i uczyniły z niej decydującą potęgę nietylko polityczną, ale i finansową. Sowiety znalazły się wobec konieczności zbliżenia się do niej i podjęcia usiłowań celem nawiązania z nią normalnych stosunków. W związku z tem kwestja paktu o nieagresji z najbliższą sojuszniczką Francji, Polską— stanęła znowu na porządku dziennym i po dłuższych rokowaniach zakończona została parafowaniem w Moskwie, 25 stycznia r. b., polsko-sowieckiego układu.

Układ ten zawiera wyrzeczenie się obu stron wszelkich dążeń agresywnych „za jakie będą poczytywane akty, naruszające całość terytorjalną i polityczną niezależność drugiej strony, nawet w tym wypadku, gdyby działania tego rodzaju miały miejsce bez wypowiedzenia wojny i z uniknięciem wszelkich jej przejawów".

W artykule drugim pakt zabrania okazywania pomocy, już to bezpośredniej już to pośredniej, państwu trzeciemu, któreby napadło na jedną ze stron podpisujących.

Pakt przewiduje specjalną konwencję koncyljacyjną, której opracowanie obecnie jest w toku.

Trudno przywiązywać większą wagę wogóle do paktów o nieagresji. Wypadki, rozgrywające się obecnie na Dalekim Wschodzie, dobitnie wskazują na to, że wszelkie tego rodzaju gwarancje posiadają bardzo niewielką wartość realną. Wszak zarówno Chiny jak i Japonja należą do Ligi Narodów i podpisały pakt Kelloga, wykluczający wojnę ze wzajemnych stosunków. Pomimo to jednak wojna, prawdziwa wojna, toczy się na terytorjum chińskiem. Liga Narodów jest wobec tego faktu zupełnie bezsilną, a jej uchwały i komisje nie mają żadnego realnego wpływu na bieg wypadków w Mandżurji i Szanghaju. Jednakowoż, o ile pakty o nieagresji uzasadnione są głębszą, istotną ten-

dencją układających się stron, o ile są wyrazem realnych interesów zawierających je kontrahentów, wtedy stają się czemś więcej, niż modną manifestacją pacyfistyczną, stają się trwałą podstawą pokojowego sąsiedzkiego współżycia.

Rozpatrywany z tego punktu widzenia, polsko-sowiecki pakt nieagresji nabiera charakteru doniosłego wydarzenia w polityce europejskiej i może być uważany za wstęp do dalszego zacieśnienia stosunków i trwałej stabilizacji pokoju we Wschodniej Europie.

W interesie polskim nie leży zatarg z Rosją. Przeciwnie. Zaczepna pozycja Niemiec, wytrwała rewizjonistyczna polityka, prowadzona przez Rzeszę w ciągu lat, zmusza nas do jaknajrychlejszego uporządkowania naszych spraw na wschodniej granicy i do ugruntowania pokoju z państwem, które w planach niemieckich odgrywa rolę narzędzia, przeznaczonego do naszej zguby.

Im prędzej Rosja otrząśnie się z pod wpływów niemieckich i przestanie ulegać nastrojom traktatu berlińskiego, im prędzej zacznie prowadzić politykę, liczącą się wyłącznie z własnemi, na dalszą metę zakrojonemi interesami państwowemi, tem pewniejszą stanie się nasza pozycja w Europie i łatwiejszą walka z uroszczeniami Niemiec. Nie da się zaprzeczyć, że świeżo parafowany w Moskwie pakt nieagresji jest wyrazem niezależnej myśli politycznej Sowietów, że nie leży on wcale na linji tendencyj niemieckich i że w Berlinie został powitany bardzo kwaśno. Wypływa to z tego, że Rosja w obecnej chwili w większym stopniu, niż kiedyindziej, potrzebuje pokoju i jest zmuszona zbliżyć się do systemu tych państw w Europie, które pokój ten gwarantują. Mamy tu na myśli system polityczny francuski, będący największą przeszkodą dla rewizjonistycznej polityki, która w swoich następstwach zmierza do wywołania nowej wojny.

Sowiety coraz wyraźniej skłaniają się do realnego zapewnienia sobie bezpieczeństwa na zachodniej granicy, widzą bowiem coraz dokładniej groźne niebezpieczeństwo, nadciągające od Dalekiego Wschodu. Konflikt azjatycki, zapoczątkowany wojną w Mandżurji, jest początkiem nowego okresu w historji Rosji, w którym wypadnie jej podjąć ciężkie zmagania na swojej długiej granicy wschodniej. Obudzenie się i modernizacja narodów azjatyckich jest groźnem niebezpieczeństwem przedewszystkiem dla Rosji, której $^{2}/_{3}$ terytorjum znajduje się w Azji. Ostatnie wypadki nad Pacyfikiem wskazują na to, że proces ten rozpoczął się nieodwołalnie i że Rosja na długie dziesiątki lat, jeżeli nie na stałe, musi się zwrócić frontem ku Wchodowi.

W tym stanie rzeczy, europejska polityka Sowietów z konieczności będzie nabierała pokojowych akcentów i będzie dążyła przedewszystkiem do ułożenia stosunków z ich zachodnimi sąsiadami. Traktat berliński, w szczególności jego ukryta tendencja antypolska, coraz bardziej traci dla Sowietów rolę jedynego narzędzia w polityce europejskiej. Staje się on coraz mniej przydatny wobec konieczności zasadniczej zmiany orjentacyjnej.

W Niemczech zaczynają rozumieć nową sytuację. Prawdopodobnie ze zrozumienia tego wynika między innemi pogląd hitlerowców na politykę niemiecką wobec Rosji. Zdaniem tego zmierzającego do władzy w Niemczech obozu, polityka względem Rosji powinna ulec zasadniczej zmianie.

Dążeniem Niemiec powinno być, obok zniszczenia Polski, rozbicie Rosji i stworzenie wielkiego państwa ukraińskiego. Kwestja ukraińska natomiast jest najdelikatniejszem zagadnieniem w rosyjskiej polityce państwowej. Bez względu na to, jaki system rządów będzie istniał w Rosji, rząd tego państwa nigdy nie pogodzi się z myślą utraty terytorjów ukraińskich, które ze względu na swoje położenie i naturalne bogactwa, są najcenniejszą częścią europejskiej Rosji. Dzięki posiadaniu tego terytorjum, Rosja może wyżywić swoją ludność, zbudować przemysł (węgiel i dostęp do kaukaskiej nafty) i utrzymać wybrzeże morza Czarnego, które w jej życiu gospodarczem zaczyna odgrywać donioślejszą rolę, niż Bałtyk. Na tym gruncie kompromis z polityką rosyjską jest nie do pomyślenia i o tem powinni pamiętać wszyscy, którzy zamierzają rozwiązywać zagadnienie pokojowego współżycia z Rosją. Od siebie musimy dodać, że na tym właśnie gruncie Polska i Rosja posiadają wiele wspólnych interesów, które mogą się stać punktem wyjścia do dalszej pokojowej polityki.

Obok kwestji azjatyckiej posiada dziś Rosja poważne racje, zmuszające ją do pokojowej polityki, tkwiące w jej położeniu gospodarczem. Rozpocząwszy wielką pracę nad zbudowaniem własnego przemysłu, musi ona dążyć do utrwalenia pokoju, gdyż tylko pod tym warunkiem możliwe jest ukończenie tego dzieła. Plan uprzemysłowienia Rosji runąłby natychmiast po uwikłaniu się Sowietów w poważniejszą wojnę, grzebiąc pod swojemi gruzami nietylko sowiecki ustrój, ale i uzasadnione nadzieje narodu rosyjskiego na lepszą przyszłość gospodarczą. Uczyniwszy z kwestji uprzemysłowienia kraju wielkie zagadnienie narodowe, społeczne i państwowe, musi rząd sowiecki dostosować do niego i swoją politykę zagraniczną, tembardziej, że bez finansowej pomocy świata zachodniego plan uprzemysłowienia nie da się przeprowadzić.

Oba te względy wskazują na to, że ewolucja polityki polsko-rosyjskiej, której wyrazem jest między innemi parafowany w Moskwie projekt paktu o nieagresji, jest zjawiskiem głębszej natury i że pakt nie jest li tylko manifestacją pacyfistyczną.

Zadaniem polityki polskiej jest wyzyskanie nowej sytuacji celem jaknajtrwalszego wzmocnienia pokoju na naszej granicy wschodniej.

Jedyną przeszkodą do podpisania i ratyfikowania paktu o nieagresji jest kwestja rokowań rumuńsko-sowieckich. Polska związana ścisłem przymierzem z Rumunją, nie może zawrzeć z Rosją układu o wzajemnem nienapadaniu się, dopóki podobny układ nie zostanie zawarty z jej sojuszniczką.

Wypływa to zarówno z treści naszego przymierza z Rumunją, jak i z istotnych interesów naszego państwa, które nakazują nam rolę czynnika, skupiającego swoich wschodnich sąsiadów dokoła polityki, zachowującej terytorjalne *status quo* w tej części Europy. Dlatego też naszą politykę pokoju wobec Rosji musimy prowadzić w zgodzie z interesami Rumunji i występować wspólnie w kwestji zawarcia paktów o nieagresji.

Niestety, układy sowiecko-rumuńskie, prowadzone w Rydze, utknęły na martwym punkcie ze względu na kwestję Besarabji, która w stosunkach obu tych państw jest najważniejszą kwestją sporną. Jest rzeczą jasną, że dopóki ta kwestja nie zostanie załatwiona w drodze obopólnego kompromisu,

Polska nie będzie mogła podpisać paktu z Rosją. Można jednak żywić nadzieję, że, układy, które mają być nanowo podjęte w Genewie przez komisarza Litwinowa i rumuńskiego ministra spraw zagranicznych ks. Ghikę, dadzą pozytywny wynik i że obaj kontrahenci znajdą kompromisową formułę, umożliwiającą podpisanie paktu. Wtedy na całej zachodniej granicy Rosji nastąpi znaczne odprężenie. Wszystkie sąsiadujące z Sowietami państwa będą opierały swoją politykę względem nich na zasadzie paktów o nieagresji, które, wzmocnione paktem z Francją, przyczynią się w sposób znaczny do zwiększenia bezpieczeństwa we wschodniej Europie i utrwalenia pokoju w naszej części świata.

ZYGMUNT BEREZOWSKI

KAPITAŁ I PRACA

(Z POWODU ENCYKLIKI OJCA ŚW. PIUSA XI „QUADRAGESIMO ANNO")

„JEŚLI zaś kto większe obróci dochody na to, aby utworzyć sposobność pracy zarobkowania na wielką miarę, należy uważać to wedle zasad Doktora Anielskiego za przepiękne i potrzebom doby obecnej wielce odpowiadające pełnienie cnoty wspaniałomyślności. A nabywanie własności dokonuje się w pierwszym rzędzie zajęciem rzeczy niczyjej i pracą, czyli wytwórczością... Praca zaś posiada wtedy jedynie zdolność tworzenia własności, kiedy człowiek wykonuje ją na rachunek własny.

Zupełnie inaczej ma się sprawa z pracą, która, za wynagrodzeniem innym wynajęta, w obcej dokonuje się rzeczy. Do niej najwięcej stosuje się owo orzeczenie, że praca robotników jest jedynem źródłem bogactwa Państwa, które Leon XIII złotę nazwał prawdą... Niemniej jest rzeczą oczywistą, że owe nadzwyczajne wysiłki byłyby bezskuteczne i daremne, a nawet nie możnaby się do nich zabrać, gdyby Stwórca wszystkich, Bóg, w swej dobroci nie był udzielił w obfitej mierze skarbów naturalnych zasobów i siły natury... Stąd pochodzi, że praca jednych z kapitałem drugich łączyć się winna, chyba, że kto sam swoim kapitałem pracuje, jedno bowiem bez drugiego jest nieproduktywne. Słusznie to zauważył Leon XIII pisząc: — Nie może istnieć kapitał bez pracy, ani praca bez kapitału. — Myli się zatem zupełnie, kto dobra wytworzone z ich współdziałania przypisuje albo samemu kapitałowi, albo samej pracy. Pozatem jest to wyraźną niesprawiedliwością, jeśli jedna strona cały wynik sobie przypisuje, nie uznając twórczości strony drugiej".[1])

Po tych wstępnych uwagach Ojciec św. pisze dalej o niesłusznych uroszczeniach kapitału z jednej, a pracowników z drugiej strony i potępia teorję liberalną, uznającą skupianie zysku wyłącznie w ręku kapitału, oraz teorję zamaskowanego socjalizmu, głoszącego, iż cały dochód prawnie należy się wyłącznie robotnikom. Tymczasem chodzi właśnie o osiągnięcie sprawiedliwego podziału dóbr materjalnych, „aby się ostał ów przez Leona XIII ceniony dobrobyt ogółu".

O zagadnieniu tem Ojciec św. pisze jeszcze co następuje:

„Nie można też pominąć w tym związku, że niedorzeczne i niesłuszne jest powoływanie się na słowa Apostoła: „Kto nie chce pracować, niechaj też nie je"; zdanie to bowiem skierował Apostoł do tych, którzy pracy unikają, choćby pracować mogli i powinni. Upomina ich, aby skrzętnie korzystali z czasu i sił cielesnych i umysłowych i, mogąc się starać o siebie, nie byli dla innych ciężarem. O tem zaś, że praca daje tylko prawo do utrzymania i dochodu, ani słowem nie wspomina".[2])

„Wielkiem owem zadaniem, której już poprzednik nasz koniecznie spełnić zalecił, jest wyzwolenie proletarjatu. Choć zupełną jest prawdą, że położenie proletarjatu należy ściśle odróżniać od pauperyzmu, jednak niezmierny ogrom proletarjuszy z jednej strony, a z drugiej przepotężne fortuny jakiejś garstki nad miarę bogatych ludzi dowodzą niezbicie, że bogactw zdobytych hojnie w naszych t. zw. industrjalizmu czasach nie podzielono słusznie... Dlatego winno się wszystkiemi siłami dążyć do tego, aby przynajmniej w przyszłości nowowytworzone dobra w słusznej mierze znalazły się u tych, którzy dają kapitał, ale tak samo w dostatecznej ilości przeszły na tych, którzy dają pracę swoją, nie po to, by się rozleniwili — urodził się bowiem człowiek do pracy, jak ptak do lotu — lecz, aby mienie swoje oszczędnością pomnożyli... Wydobywszy się tak z niepewności codziennego życia, która jak fala miota proletarjuszami, zdołają stawić czoło nietylko zmiennym losom życia, ale także po zejściu z tego świata, pozostałej rodzinie z ufnością będą[3]) mogli przekazać jakieś zabezpieczenie".

Niektóry punkty przytoczonych powyżej ustępów wymagają specjalnej uwagi. Przedewszystkiem zastanawia tu ustęp, stawiający na czele zagadnienia pracy najemnej postulat doprowadzenia robotników do posiadania jakiejś, choć małej własności. Myśl ta nie jest nową. Leon XIII wypowiedział ją także w „*Rerum Novarum*". Trzeba tu zauważyć, co z całego postawienia sprawy przez obu Papieży wynika niedwuznacznie, że nie mają oni na myśli jakiejś „reformy" jednorazowej, nagłego uwłaszczenia mas, naruszającego prawa istniejącej własności prywatnej, lecz poprostu umożliwienie warstwom pracującym najemnie składania drobnych oszczędności i dojścia własnym wysiłkiem do pewnego mienia. Podobne przeobrażenie stosunków społecznych miałoby cechę pozytywności; zamiast cokolwiek burzyć, dążyłoby do budowania nowych stosunków w ramach istniejącej gospodarki nowoczesnej. Ojciec św. wskazuje, że sprawa jest pilna, nie zamykając zresztą oczu na trudności gospodarcze w bieżącej chwili i wzywając wszystkich do wspólnego wysiłku dla zaradzenia złemu.

Warto zastanowić się nad pytaniem, czy wygórowana płaca sprzyja tej drobnej oszczędności, o którą troszczą się obaj Papieże. Przyjmując nawet, żeby ona była z innych względów możliwa, sądzimy, że nie. Płaca wygórowana (w stosunku do średniego poziomu przyzwyczajeń ludności fizycznie pracującej) prowadziłaby raczej do rozrzutności,

---

[1]) Enc. „*Quadragesimo Anno*" str. 32, 34, 35, 36, przekładu Ks. Biskupa Okuniewskiego.

[2]) Enc. „*Quadragesimo Anno*" str. 39.

[3]) *Ibid.* str. 39.

do mniejszego cenienia pieniędza. Sądzić wypada, że najlepiej oszczędza, kto zapracuje z pewnym wysiłkiem na zarobek mało co przekraczający konieczności życia codziennego, oczywiście w stosunku do tradycyjnych potrzeb tej warstwy społecznej, w jakiej się wychował. Przy sprzyjających okolicznościach materjalnych poziom życia może się podnosić z pokolenia na pokolenie i w postępie tym brać mogą udział wastwy fizycznie pracujące. Lecz wtedy tylko może on być dobry, czy nieszkodliwy, gdy odbywa się niepostrzeżenie, bez sztucznej podniety i nie dochodzi do poziomu możliwego tylko przy najkorzystniejszej konjunkturze. Zastrzeżenia te są konieczne, zwłaszcza gdy chodzi o szeroką masę społeczeństwa. Lecz nie tu miejsce nad zagadnieniem tem się rozwodzić.

Ojciec św. przechodzi następnie do zagadnienia słusznej płacy. Stwierdziwszy najpierw, że niedorzecznością jest uważanie umowy najmu (salarjatu) na zasadniczą niesprawiedliwość pisze: „Sądzimy jednak, że obecne warunki gospodarcze usilnie polecają złagodzenie, o ile można, umowy pracy przez umowę zbiorową“.[4])

Następnie swierdza, że jak własność prywatna, tak i praca najemna posiada nietylko indywidualny, lecz i społeczny charakter:

„Wówczas bowiem jedynie wydajność pracy ludzkiej jest zapewniona, jeśli istnieje ustrój prawdziwie społeczny i zorganizowany, jeśli porządek społeczny i prawny opieką otacza wykonywanie pracy, jeśli różne gałęzie przemysłu, wzajemnie od siebie zależne, zgodnie działają i uzupełniają się, jeśli, co najważniejsza, inteligencja, kapitał i praca ku jednemu zespalają się celowi. Nieuwzględnieniem społecznego i indywidualnego charakteru pracy uniemożliwia się i sprawiedliwą ocenę pracy i słuszne jej wynagrodzenie“.[5])

„Sprawiedliwy wymiar płacy należy nie pod jednym tylko kątem widzenia oceniać, lecz pod różnemi. Trafnie to podkreślił już Leon XIII pisząc: — wiele trzeba pod uwagę wziąć względów, żeby ustalić słuszną płacę“.

Jakież tedy zasady słusznej płacy wskazuje Encyklika? „Najpierw więc przysługuje robotnikowi płaca, wystarczająca dla utrzymania jego oraz rodziny. Słuszną to zapewne rzeczą, że i reszta rodziny w miarę sił przyczynia się do wspólnego utrzymania rodziny... Ale nie wolno nadużywać wieku dziecięcego i słabych sił niewiasty. Matki powinny w domach swoich przedewszystkiem i wokoło działać w zakresie gospodarstwa domowego. Haniebnem natomiast to nadużyciem, które za wszelką cenę usunąć należy, żeby matki zmuszone były z powodu niedostatecznych zarobków ojca szukać korzystnego zarobku poza domem, ze szkodą obowiązków domowych, a w szczególności ze szkodą dla wychowania dzieci...“ [6])

„Na drugiem miejscu należy, przy oznaczaniu wysokości płacy, uwzględnić położenie przedsiębiorcy i przedsiębiorstwa. Niesprawiedliwością byłoby domaganie się wygórowanych płac, któreby do upadku musiały doprowadzić przedsiębiorstwa, a wskutek tego i do biedy robotnika“.[7])

„Wkońcu wymiar płacy musi odpowiadać ogólnemu dobru gospodarczemu. Wyłuszczyliśmy już powyżej, jak wielce przyczynia się do ogólnego dobra, jeśli robotnicy i urzędnicy część swego zarobku, która im po opędzeniu kosztów życia pozostała, odkładają i tak dochodzą do skromnego mienia. Ale nie można innej pominąć sprawy, niemniejszej doniosłości, a w naszych czasach szczególniej pilnej, mianowicie, aby tym, którzy mogą i chcą pracować, dać do pracy sposobność. To zaś w niemałej mierze zależy od wysokości płacy... Któż bowiem nie wie, że płaca zbyt obniżona, lub nadmiernie wygórowana wywołała bezrobocie?.. Zabrania zatem sprawiedliwość społeczna, aby dla własnej korzyści i z pominięciem dobra ogólnego zarobki robotników zbyt obniżać, lub nadmiernie podnosić, domaga się natomiast, aby zgodnym wysiłkiem umysłu i woli płacę o ile można tak ustalić, aby jaknajwiększa liczba ludzi znalazła możność pracy i z niej uczciwie żyć mogła“.[8])

Z przytoczonych powyżej ustępów szczególnie ważny jest krótki ustęp, tyczący umowy zbiorowej. Dowodzi on, że Ojciec św. rozpatruje zagadnienie pracy ze stanowiska praktycznej realizacji, a nie teoretycznej analizy pojęć. Bo można powiedzieć, że płaca słuszna, to jest poprostu taka, na którą obie kontraktujące strony zgadzają się dobrowolnie. Chodzi tylko o to, by dobrowolność ta rzeczywiście istnieć mogła. To zaś możliwe jest, naogół biorąc, tylko przy umowie zbiorowej.

Same zasady słusznej płacy ujęte są w Encyklice z praktycznego stanowiska indywidualnych i zbiorowych celów i okoliczności. W pierwszej zasadzie pozostaje Encyklika ściśle w ramach tradycyjnych pojęć Kościoła, określając słuszną płacę przez cel jej, dostateczne utrzymanie robotnika w normalnych warunkach (więc z rodziną).

Jasną jest rzeczą, iż mimo krytyk, z jakiemi zasada ta ze stanowiska gospodarczego się spotyka, Kościół nigdy zejść nie może z tego stanowiska moralnego celu pracy, utrzymania życia ludzkiego w warunkach, nie utrudniających zbytnio rozwoju moralnego. Czyż zresztą to jest sprzeczne ze zdrowiem gospodarstwa społecznego? Przedsiębiorstwo, utrzymujące się przy istnieniu dzięki głodowemu poziomowi wynagrodzeń, nie może być przecież uważane za żywotne i racjonalne. Praca zaś ze stanowiska czysto gospodarczego logicznie przedstawia działanie w celu dostatecznego zaspokojenia potrzeb własnych, zrównoważenia budżetu rodzinnego. Oczywiście przyjąć tu wypada, przy ustalaniu poziomu płacy, hypotezę, iż praca dokonywana nie w stosunku najemnym, lecz na własnym warsztacie, istotnie ten cel swój osiąga, co w praktyce nie zawsze się zdarza. Pracownik najemny znajduje się o tyle w położeniu korzystniejszem od pracownika niezależnego, że hypoteza działa tu na jego korzyść. To też z drugiej strony jest rzeczą słuszną, aby zyski wyjątkowe, polepszenie konjunktury, wychodziły w pierwszej linji na korzyść przedsiębiorców, ponoszących ryzyko w razie osłabienia konjunktury, a dopiero następnie przyczyniały się ewentualnie do podniesienia wynagrodzeń pracowników.

Druga i trzecia zasada słusznej płacy, wskazana przez Encyklikę, wypływa z pobudek ogólnospołecznych. Pierwsza z tych dwóch zasad równa się właściwie przystosowaniu płacy do popytu na

[4]) Enc. *„Quadragesimo Anno“* str. 43.
[5]) *Ibid.* str. 44.
[6]) *Ibid.* str. 45.
[7]) *Ibid.* str. 46.
[8]) *Ibid.* str. 47, 48.

towar, do zysku z przedsiębiorstwa, lecz nie w tym kierunku, aby robotnicy natychmiast korzystali z każdego podniesienia się zysku, lecz aby ograniczyć maksymalistyczne ich dążenia względem na żywotność przedsiębiorstwa i uchronić je od zniszczenia przy miernej konjunkturze.

Jasną jest rzeczą, że każda zasada obliczania płacy ma swoje trudności, żadnej też nie można stosować bezwzględnie, wyprowadzając z niej krańcowe konsekwencje. Encyklika z natury rzeczy nie wchodzi w szczegóły zastosowania tych zasad; mają one tylko nadawać biegowi sprawy społecznej zdrowy kierunek, bez względu na to, do jakiego stopnia pełna realizacja tej, czy owej zasady jest możliwa, w jakiej mierze jedna drugą w praktyce ogranicza. Cel jest jasny: utrzymanie porządku moralnego i gospodarczego w społeczeństwie przez zachowanie w pełni instytucji własności prywatnej, przez danie utrzymania robotnikom na znośnym poziomie, zapewnienie im pracy przez uchronienie przedsiębiorstwa od ruiny. Stanowisko Kościoła w tych sprawach nie może być czysto materjalistyczne, czy mechanistyczne. Kościół, jako stróż i krzewiciel moralnego życia, nigdy nie uzna w sprawach ludzkich stanowiska fatalistycznego. Z drugiej strony nie kieruje się też doktrynerskim idealizmem, przykrawającym życie do własnych uprzedzeń, do oderwanych idej, służących zresztą najczęściej za maskę dla zwykłych ambicyj, zawiści, lub interesów, we wszystkiem szuka on żywej prawdy, łączącej w sobie różne czynniki, które myśl ludzka sztucznie rozszczepiać zwykła.

ZOFJA ŻÓŁTOWSKA-DĄBROWSKA

Z OBOZU NORDYCZNEGO

W DOTYCHCZASOWYCH artykułach i notatkach, dotyczących niemieckiego ruchu nordycznego (patrz: „Myśl Narodowa" nr. 8, 14 i 32 z r. ub.) starałem się oświetlić ten ruch rasowy ze strony politycznej. Materjał, dotychczas przezemnie ogłoszony, daje nam możność najogólniejszego zorjentowania się w politycznych tendencjach omawianego ruchu. Jest to zatem nowa forma imperalistycznego nacjonalizmu niemieckiego, zwróconego swem ostrzem przedewszystkiem na wschód. Nie ulega wątpliwości, że ruch ten jest więcej niemiecki, aniżeli nordyczny. A że tezy nordyczne stanowią bodaj główny składnik ideowy bliskiego do ujęcia władzy obozu hitlerowskiego, więc śledzenie postępu i postępków obozu nordycznego jest bardzo potrzebne i wskazane.

Niemiecki obóz nordyczny, jak widać z doniesień jego organu *„die Sonne"*, prowadzi dalszą skuteczną akcję organizacyjną i propagandową w krajach skandynawskich. Oto na dorocznym niemieckim zjeździe nordycznym w odbytym w czerwcu r. ub., mówił kierownik duńskich organizacyj nordycznych, E. Vaaben na temat „Idea narodowa a idea pannordyczna". Referent jest wyznawcą daleko idącej politycznej wspólnoty nordycznej. Spór między Niemcami a Danją jest wedle niego tylko sporem pomiędzy krewniakami. Da się on rozwikłać jedynie na zasadach, głoszonych przez niemiecki ruch narodowo - socjalistyczny. Adolf Hitler, wedle referenta, złożył w tym kierunku zadowalające oświadczenie. Od r. 1928 rozszerza się pomiędzy młodzieżą duńską ruch nordyczny. Musi on jednak uzyskać w Niemczech *„Rückendeckung"*. Idzie mianowicie o to, aby niemiecki narodowy socjalizm nie popierał żadnych antyduńskich posunięć politycznych. Nie należy stwarzać możliwości konfliktów przez gwałtowne przesunięcie granicy niemiecko-duńskiej zbytnio na północ czy też na południe! Mniejszościom po obu stronach granicy należy zabezpieczyć autonomję kulturalną. Widać z tego, że Vaaben powtórzył w zupełności receptę na rozwiązanie granicznego konfliktu między Danią a Niemcami, opublikowaną trzy lata temu przez Niemca, prof. Günthera. Do norweskich suksesów nordycznych, o których pisałem poprzednio, należy dodać fakt, że niezbyt dawno ministerstwo spraw wojskowych objął w tym kraju major Vidkun Quissling, zwolennik politycznego nordyzmu. Dostojnik ten, w książce, zatytułowanej *„Russland og vi"* (Rosja i my), wydanej w r. 1930 w Oslo, propaguje ideę germańsko - nordycznego związku państw, jako tamę przeciw bolszewizmowi. Profesor Günther porównuje majora Quisslinga do znanego protektora ruchu nordycznego, dr. Fricka, ministra z ramienia hitlerowców w Turyngji. Również prasa norweska odnosi się do poczynań nordycznych bardzo przychylnie.

Niemieckie organizacje nordyczne chętnie widzą budzenie się ruchu nordycznego jedynie u narodów germańskich. Redakcja czasopisma *„die Sonne"* potrafi długo i szeroko rozwodzić się nad jednym artykułem o nordycznem nastawieniu, który ukazał się w nacjonalistycznem piśmie holenderskiem *„De Bezem"*. Zupełnie jednakże inaczej odnosi się do poczynań nordycznych, o ile one występują u niegermańskich narodów. Wspominałem już w nr. 32. „Myśli Nar." że nordyczna inicjatywa francuska, podjęta w formie założenia w Lille towarzystwa pod nazwą *„Laboratoire Intellectuel Gobineau"* nie spotkała się z entuzjazmem ze strony nordyków niemieckich. Ostatnio jesteśmy świadkami już zupełnie zdecydowanego niezadowolenia i poważnej irytacji sfer nordycznych, wyładowujących się w kierunku polskiej nauki.

Trzeba tutaj podkreślić, że w Polsce nie mamy w zupełności ruchu nordycznego. Mimo to jednak zaszedł w naszem naukowem życiu fakt, który niemieckich nordyków wyprowadził z równowagi. Faktem tym było pojawienie się książki profesora Jana Czekanowskiego, zatytułowanej „Zarys antropologji Polski" (Lwów, 1930, str. 592). Jest to dzieło zupełnie nieprzeciętne. Bez przesady można je nazwać epokowem dziełem w literaturze antropologicznej. Dla polskiej nauki jest ono tem chlubniejsze, że autor mógł je prawie w całości oprzeć na polskich pracach monograficznych, jakkolwiek książka wychodzi bardzo daleko poza granice ziem polskich. Na czemże polega znaczenie książki Czekanowskiego? Autor książki prawie przed ćwierćwieczem postawił sobie za cel naukowej działalności przebudowę antropologji wogóle, chcąc z niej uczynić naukę ścisłą. Chciał z antropologji uczynić naukę podobną np. do współczesnej chemji, żeby w ten sposób ustalić jej zagrożony byt. Trzeba sobie bowiem to uświa-

domić, że byt tej nauki zaczynał się bardzo poważnie chwiać. Nastąpił mianowicie w latach poprzedzających wojnę poważny wewnętrzny kryzys tej nauki, który zawsze kończy się ograniczeniem możliwości bytu. Kryzys ten był wynikiem całego szeregu przyczyn. Wspomnę o dwu, zdaniem mojem najważniejszych. Najpierw pod wpływem bezwzględnej dyktatury w naukach biologicznych teorji ewolucji, przestano się zajmować w antropologji prawie zupełnie zagadnieniami systematyki rodzaju ludzkiego. Bo i pocóż było się męczyć nad żmudnemi dociekaniami klasyfikacyjnemi, kiedy i tak wszystko się rozwija, niema nic stałego w naturze. Wystarczały zupełnie dwie klasy t. j. formy prymitywne i formy rozwinięte.

Czego zaś z rodzaju ludzkiego nie przydzielono do tych dwu klas, to stanowiło formy pośrednie. Na tle tych zapatrywań nastąpił zupełny chaos w antropologji. Do momentu naukowego dołączył się pozatem moment polityczny. Ewolucyjny punkt widzenia sprzyja rozmaitym grupom politycznym: umożliwiło to np. uczonym żydowskim negować przez dłuższy czas widoczny nawet dla laika fakt rasowego zróżnicowania rodzaju ludzkiego. Inaczej wykorzystali ewolucjonizm niemieccy nacjonaliści. Ci znowu uznali, że typ nordyczny, występujący dziś rzekomo jedynie u narodów germańskich, jest najwyższym wykwitem ewolucji. To przekonanie głęboko wrosło w niemiecką umysłowość i stanowi jedną z najsilniejszych podwalin niemieckiego ruchu nordycznego. Wszystkie powyżej poruszone momenty doktrynalne wprowadziły niesłychany zamęt do antropologji. Dochodziło do tego, że można było w tej dziedzinie bezkarnie pisać, co się komu żywnie podobało. Antropologja stawała się powoli nauką, w której nierzadko zaczynali „pracować“ ludzie, co w innych, wyżej rozwiniętych dyscyplinach nie mogli sobie dać rady.

Czekanowski tedy, jak już wyżej powiedzieliśmy, zaczął przebudowę antropologji, a omawiana książka przedstawia dotychczasowe rezultaty tego przedsięwzięcia naukowego, rezultaty, otrzymane zarówno przez autora książki jak też jego uczniów i współpracowników. Opanowawszy metody statystyczne, rozwinięte w nauce angielskiej, uznał je za narzędzie zamierzonej przebudowy, zwłaszcza, że angielskie zapożyczenia powiększył swą oryginalną twórczością. Pierwszym krokiem przebudowy było stwierdzenie, że z dotychczasowych antropologów-systematyków najbliżej istotnych stosunków w zakresie rasowego zróżnicowania podchodzi Deniker ze swoją klasyfikacją. Następnym etapem pracy było zdobycie możności określania systematycznego poszczególnych jednostek ludzkich. Czekanowskiemu udało się skutecznie uporać z określaniem materjału żywego oraz resztek kostnych. Zwłaszcza ta ostatnia zdobycz jest bardzo ważna. Daje ona możliwość zbudowania poprawnej historji rodzaju ludzkiego. Przecież dziś można zupełnie ściśle kontrolować, co jest np. w przeszłości nordycznem, a co niem nie jest. Nie wszystkie jednak jednostki systematyczne, ujmowane przez systematyków jako rasa czy też typ, są jednakowej rangi biologicznej. Już dawniej przypuszczano, że jedne z tych typów są rzeczywistemi elementami rasowemi, inne zaś reprezentują jedynie mieszańców tych zasadniczych, stałych elementów rasowych. Czekanowski zdołał dla stosunków europejskich stwierdzić te zasadnicze elementy rasowe. Jest ich cztery, a to: nordyczny, iberyjsko-insularny (śródziemnomorski), laponoidalny oraz armenoidalny. Dziedziczne te elementy wytwarzają we wzajemnem krzyżowaniu sześć mieszańców, dziedzicząc się wedle praw Mendla. Najważniejszem w tym zakresie jest stwierdzenie, że populacje ludzkie nie są czemś przypadkowem, lecz posiadają ściśle określoną strukturę, zależną od składu rasowego, t. j. od procentowego udziału w populacji elementów rasowych oraz od schematu ustosunkowań dziedzicznych, panującego na danym terenie czy też w danym czasie. Doprowadził przytem autor w niektórych dziedzinach badania antropologiczne do takiej ścisłości, jaką osiągnęły jedynie najbardziej zaawansowane nauki przyrodnicze.

Gdyby niemiecki ruch nordyczny reprezentował rzeczywiście samowiedzę rasową elementu nordycznego, a nie był, jak to jest w rzeczywistości, tylko pokrywką niemieckiego nacjonalizmu, to „Zarys antropologji Polski“ powinienby był w zasadzie stać się podstawową książką ruchu nordycznego. Książka Czekanowskiego jest bowiem bodaj najpoważniejszą naukową ilustracją tezy nordyków, że typy rasowe nie są równe co do swych uzdolnień w najrozmaitszych zakresach. Co więcej, autor książki wierzy, nawet może w zanadto wielkim stopniu, w wyższość elementu nordycznego, okazywaną w bardzo wielu dziedzinach życia. Dopuścił się jednak, w rozumieniu niemieckiego obozu nordycznego, dwu grzechów nie do darowania. Najpierw nazwał po imieniu to, co się robi w większości niemieckiej antropologji, określając prace kierunku nordycznego jako prace polityczne. Ten jednakże zarzut nie byłby może najboleśniejszy. Uczeni nordyczni słyszą go w Niemczech na każdym kroku. Największym jednak grzechem profesora Czekanowskiego jest teza, bardzo poważnie udokumentowana, że element nordyczny stoi u współczesnych Polaków na pierwszem miejscu, stanowiąc w dodatku w północnych prowincjach przewagę liczebną ogółu ludności.

Przytoczone powyżej momenty zdecydowały zapewne o tem, że w IX-tym nr. czasopisma *„Die Sonne“* pojawił się artykuł polemiczny, skierowany przeciw książce Czekanowskiego, pióra p. Percy Meyer z Rygi, zatytułowany *„Polnische Rassenkunde — Sonderpfode einer entwickelten Wissenschaft“*. W gruncie rzeczy autorka streszcza powierzchownie książkę, nie zrozumiawszy najistotniejszych jej zdobyczy.

Zastrzeżeń naukowych ma w zasadzie mało, tak mało, że więcej ich będzie mógł mieć niejeden szczery zwolennik Czekanowskiego. Mimo to jednak artykuł jest napisany zgryźliwie i napastliwie. Omawiając wyżej podniesione zakwalifikowanie przez Czekanowskiego literatury nordycznej jako nacjonalistycznej i politycznej, recenzentka ni z tego ni z owego kieruje w stronę autora zarzut, że to on sam wprowadza do nauki politykę! Gdy omawia zaś wyniki Czekanowskiego, wedle których element nordyczny w Polsce nie jest wcale mniej liczny, aniżeli w Niemczech, autorce wyrywa się następujące, bardzo wiele mówiące zdanie: „Chciał Czekanowski zapewne (Niemcom) powiedzieć: Nie jesteśmy biedniejsi od was pod względem nordycznej krwi. Nie potrzebujecie się przeto chełpić, ani nas w oczach świata obniżać“. Jednem słowem, nordyczna teorja w niemieckiem tłumaczeniu przestaje się zgadzać z faktami i stąd zdenerwowanie.

Występ ten jest tem bardziej nieoczekiwany, że niemieccy antropologowie prywatnie są pełni uznania dla rozwoju antropologji w Polsce. Wiem nawet o tem całkiem dowodnie, że stan antropologji w Polsce jest przez niemieckich uczonych wyzyskiwany wobec swych oświatowych władz do zwiększenia świadczeń na rzecz tej nauki.

Zdaje mi się, że ustosunkowanie się nordyków do książki Czekanowskiego jest najmniej szczęśliwe ze wszystkich możliwych ustosunkowań. Pomijam to, że mogli się oni byli z książki tej bardzo dużo nauczyć i wykorzystać zawarte w niej fakty dla swej doktryny. Ale przecież takie enuncjacje stwierdzają bez żadnej wątpliwości, że ruch nordyczny, to tylko nacjonalizm niemiecki i nic więcej pozatem.

KAROL STOJANOWSKI

OD RISORGIMENTA DO FASZYZMU

ŚWIADOMOŚĆ narodowa ma swoje przypływy i odpływy, ale wzmaga się i rośnie prawie zawsze w wyniku i jako owoc tej tragicznej zagadki ludzkości, jaką stanowią wojny, które przyśpieszają i pogłębiają wielokrotnie ów normalny proces destrukcyjny, a zarazem twórczy, jakim jest historja.

Faszyzm, badany na tle historji Włoch i oglądany w jej perspektywie, uważam za jeden ze stopni, za jeden z okresów przypływu świadomości narodowej włoskiej.

Po niebywałym wstrząsie wojny i przesileniu, jakie nastąpiło bezpośrednio po wojnie, w którem starły się gwałtownie wszystkie siły społeczne i polityczne (1919 — 1922), Italja, chwilowo jakby zbłąkana, staje na rozdrożu. Ale wnet bierze w niej górę instynkt i zdrowy rozsądek, jedna z najcenniejszych cnót ludu włoskiego, sięga do głębin duszy narodowej, do swych starodawnych tradycyj, odzyskuje świadomość swej wielkiej misji i szuka przed sobą nowych dróg. Poprzez bliską przeszłość *risorgimenta*, genjusz i chwałę renesansu, poprzez bujne życie gmin i republik średniowiecza stara się nawiązać do dziejów i tradycyj Rzymu. Faszyzm jako wytwór świadomości narodowej łączy się ściśle z historją, z rozwojem demograficznym, z naturą i koniecznościami rozwojowemi ziemi i ludu włoskiego.

Aby należycie zrozumieć zmiany i przewrót, jaki faszyzm wywołał, należy przebiec główne fazy, główne punkty rozwoju świadomości narodowej włoskiej, bo jest to problem szczególnego znaczenia dla dawnych dziejów półwyspu oraz dalszego rozwoju Włoch i ich roli pośród Europy.

Od czasów Rzymu, Italja nie podlegała jednej potędze. Cesarstwo i Kościół, które w średniowieczu chcą kontynuować tamtą wielką tradycję i ambicję rzymską uniwersalnego panowania nad półwyspem, nie zdołały nigdy opanować go w całości i zespolić, ale wydzierały sobie tylko nawzajem i dzieliły między siebie nad nim wpływ. Od upadku cesarstwa zachodniego aż po koniec panowania Karola V myśl ta i dążność rywalizacyjna ciąży, rzec można, nad dziejami powszechnemi a zarazem koncentruje w sobie całą dynamikę dziejów półwyspu. Panowanie hiszpańskie nie pozostawiło po sobie śladów unifikacyjnych. Hiszpanja była już sama zbyt wyczerpaną i zdegenerowaną w swym rozpędzie imperjalistycznym. Rządy austrjackie, które przyszły po hiszpańskich w następstwie wojny sukcesyjnej hiszpańskiej, natrafiły znowóż na zbyt wiele przeszkód ze strony Francji, by móc się ustalić na półwyspie, na którym zresztą zaczęły się już budzić od początku XVIII w. nieznane dotąd siły. Okres napoleoński i panowanie francuskie, które zluzowało Austrję, jakkolwiek wywarło niezatarte piętno na pewnych centrach półwyspu, choćby na samym Rzymie, trwało zaledwie kilka lat i po kongresie wiedeńskim ustąpiło miejsca powrotnej fali austrjackiej. Wszystkie te kolejne panowania i rządy nie stworzyły tu nigdy jednolitej organizacji państwowej, ale nie mogły nie pozostawić, i to przeważnie śladów ujemnych, w psychice mas włoskich i zatrzeć w ich świadomości takich prostych a przyrodzonych pojęć, jak wspólna wszystkim Włochom ojczyzna, jej jedność i wolność. Żaden kraj nie był w ciągu wieków tak dzielony i kawałkowany przez obcych najeźdźców i przez własnych panów, nie miał tylu sprzecznych ustrojów państwowych i rządowych i to równocześnie, żaden nie był przedmiotem tylu pożądań, ambicyj i gwałtów, nad żadnym nie zawisła tak długo rodzima i obca niewola, nad żadnym wreszcie nie ciążyła tak potężna przeszłość, jaką przedstawiał Rzym, z którym porównanie i kontrast oddziaływały przez długie wieki przygniatająco i hamująco na włoską współczesność.

Zjednoczenia Włoch podjęła się dopiero w XIX stuleciu, w innych warunkach, dynastja Sabaudzka. Italja, kolebka starodawnej kultury, jest więc w całem tego słowa znaczeniu państwem młodem i bardzo późno zaczyna żyć wspólnem życiem narodowem.

Sprawa świadomości narodowej włoskiej wogóle, a nowożytnej Italji w szczególności stanowiła jeden z czołowych tematów dociekań i dyskusyj w historjografji i literaturze ostatniej doby. Chodziło wszak o metrykę wspólnego poczucia się narodem, któremu to poczuciu stanęły na drodze, zaciemniając je i przytłaczając, tamte dwie potężne ideje, cesarstwa i papiestwa, a któremu wyzwolić się i przejawić pomogła dopiero na dobre rewolucja francuska i Napoleon. Rzecz jasna, że dla zrozumiałych powodów dumy narodowej, historjografja włoska starała się zebrać najskrupulatniej i podkreślić wszystkie, choćby najskromniejsze objawy budzenia się ducha narodowego przed tą epoką i nie bez powodzenia zdołała wykazać, że i przed rewolucją francuską Italja zaczęła się otrząsać z odrętwienia, że pochód *risorgimenta* zaczął się wcześniej. Jeśli w szczególności odróżni się poczucie patrjotyczne od poczucia politycznego, które dojrzało dopiero w latach 1789—1799, to przyjdzie stwierdzić, że pierwsze przejawiło się nie tylko u całego szeregu pisarzy, ale, dzięki nim, zaczęto sobie torować drogę w społeczeństwie już w pierwszej połowie XVIII wieku.

Jedność, którą półwyspowi nadał Rzym, rozpłynęła się we mgle sześciu wieków wczesnego średniowiecza, stając się tylko wspomnieniem. Odradza się ona zwolna, ale jedynie w umysłach wybranych, w ciągu XII i XIII stulecia. Dante skrystalizował i wypowiedział najdobitniej tęsknotę

Włoch za jednością i nawiązując do rzymskich tradycyj, stał się chorążym doktryny o monarchji uniwersalnej, która w jego pojęciu była wizją cesarstwa, a nie Włoch. Jedność Dantego nie mogła być jednością polityczną w nowożytnem pojęciu słowa, bo nie mogła nią być w czasach, w których każda z republik włoskich zazdrośnie strzegła swych przywilejów i praw obywatelskich, ale opierała się o niemniej włoską doktrynę prawną, usiłującą pogodzić sprzeczność idej cesarstwa i papiestwa [1]). Gdzieindziej, we Francji, w Hiszpanji, w Polsce ku jedności prowadziła naród dynastja, we Włoszech zaś jej brakło. Przedstawicielem idei narodowej półwyspu w sensie negatywnym było w XVII i XVIII wieku papiestwo, bo staraniem jego musiało być niedopuszczenie do niebezpiecznego przerostu potęgi któregokolwiek z mocarstw, które dzieliły między sobą panowanie nad półwyspem i utrzymanie równowagi między niemi. Papiestwo więc, o ile z jednej strony było hamulcem w rozwoju idei zjednoczenia, o tyle z drugiej stanowiło z pomienionego względu niezaprzeczoną obronę półwyspu przed obcym najazdem. W ten sposób, nie mogąc panować nad całością, papiestwo nie dopuszczało obcej hegemonji i zapewniło sobie przez swą neutralność pośredniczący i ponadpaństwowy autorytet polityczny, przy którym jak najdłużej starało się utrzymać.

Zanim naród włoski wydobędzie sam z siebie energję i wolę państwowo-twórczą, rolę czynnika jednoczącego go politycznie spełniać będzie literatura. Ona to, od Dantego przez Petrarkę do Alfierego tworzyła ten kit, utrzymujący w zjednoczeniu sumienie włoskie, pogrążone w partykularyzmie i uśpione walkami wewnętrznemi i rozdarciem. Sumienia tego nie przestaną budzić i nawoływać do czynu przedewszystkiem pisarze polityczni i uczeni. Najwymowniej i najmocniej uczynił to wielki prozaik, wielki pessymista, wielki patrjota włoski, jakim był Macchiavelli. Jego „Książę“ jest też swego rodzaju systemem rad, mającym na celu zjednoczenie Włoch.

Rzecz szczególna, że najwyższy okres rozwoju kulturalnego Italji, jakim było Odrodzenie, bardzo mało wpłynął na obudzenie poczucia narodowego w szerokich warstwach społeczeństwa włoskiego, a nawet do pewnego stopnia je opóźnił. Był to wybuch wulkaniczny genjuszów, a więc indywidualizmów, który wydał wielkie dzieła sztuki, ale po wspaniałych wysiłkach jednostkowych i wynikłej po nich reakcji zobojętnienia i sceptyzmu w dziedzinie intelektualnej i politycznej, brakło miejsca dla czynu zbiorowego, narodowego, tembardziej, że nie było dla niego warunków wobec rozbicia półwyspu na szereg państw i państewek. Pessymizm Macchiavella i niewiara w dobroć natury ludzkiej zdają się być uzasadnione, gdy widział, że najwybitniejsze talenty szły na usługi obcych panów i partykularyzmów, a Italja jęczała w jarzmie niewoli. Nie było ojczyzny włoskiej, nie było wojska włoskiego, o które napróżno wołał polityk florencki. I stało się, że naród włoski jako całość zaczął walczyć i zwyciężać na dobre dopiero w ostatniej wojnie i dopiero wtedy poczuł się naprawdę zjednoczony.

Myśl o zjednoczeniu nawet w umysłach oświeconych znika i zamiera i dopiero w ciągu XVII stulecia, a na dobre w XVIII wieku wydobywa się na powierzchnię. Za jeden z pierwszych przejawów dążności ku zjednoczeniu z końcem XVII i z początkiem XVIII w. można uważać przebudzenie się miłości własnej Włochów i ich dumy narodowej na gruncie literackim i kulturalnym w przeciwstawieniu do obcych, do Francuzów w szczególności. Stało się to głównie pod wpływem krytyki francuskiej, która godziła bezlitośnie w twórczość umysłową włoską, w Tassa i Ariosta, i pobudziwszy z kolei dumę narodową kół intelektualnych włoskich, wywołała reakcję, która utrzymała się przez cały wiek XVIII przeciwko najazdowi wpływów obcych, a za podnoszeniem własnych wartości kulturalnych. Historycy i literaci, jak Vico, Muratori, Maffei, Parini, Alfieri, Cuoco, Foscolo bądź zapładniają, bądź aktywizują ten prąd opinji publicznej, pracy ku poczuciu narodowemu, który potem, zbudzony definitywnie przez rewolucję francuską, znajdzie ujście w *risorgimento*.

Jednem z zasadniczych zjawisk w dziejach półwyspu włoskiego w drugiej połowie XVIII w. jest zachwianie się i upadek stolic regjonalnych. Wyczerpały się wielkie metropolje regjonalne: Wenecja, Mantua, Parma, Florencja. Brakło im nowych sił odżywczych, nie tylko do rozwoju, ale do podtrzymania hegemonji, opartej o bogactwa duchowej i ekonomicznej kultury. Przestają promieniować, zasklepiają się zwolna. Dawny ich wpływ i znaczenie upada. Odrębne życie miejscowe nawet takiej Wenecji zaczyna wyzbywać się osobnych cech pod naciskiem nowych prądów i niebawem traci rację bytu. Coraz więcej mieszkańców półwyspu poczyna odczuwać zło, płynące z podziałów politycznych i partykularyzmu. Pasożytnictwo, jakkolwiek tak owocne, wielkich stolic, żyjących kosztem miast mniejszych, zbliża te ostatnie ku sobie we wszystkich częściach półwyspu. W ten sposób dokonuje się częścią świadomie, częścią nieświadomie przekroczenie sztucznych granic politycznych i przejawia się naturalny pęd do łączności i powolnego zlewania się. Jesteśmy jeszcze daleko do skrystalizowania się idei zjednoczenia i do jej świadomego zapanowania nad umysłami, ale duch unifikacyjny zaczyna już unosić się nad Włochami, wbrew różnorakim rządom włoskim, zainteresowanym w utrzymaniu dotychczasowego stanu rzeczy, wbrew klasom panującym, którym dawny porządek zapewnił byt, pewien wpływ i znaczenie, a którym ruch unifikacyjny groził zagładą.

Stosunki społeczne na półwyspie nie uległy niemal wcale zmianie od czasów średniowiecznych. Opozycja przeciwko warstwom uprzywilejowanym zrodziła we Włoszech, jak wszędzie zresztą, prąd równouprawnienia cywilnego i politycznego, a w dalszem następstwie, wobec faktu, że stany uprzywilejowane opierały się na rządach obcych, wywołała dążność do wyzwolenia i niepodległości na zewnątrz. Obydwa te prądy, równouprawnienia cywilnego i politycznego na wewnątrz oraz niepodległości zewnętrznej, łączą się tu ściśle i ogniskują w idei podstawowej zjednoczenia Italji. Proces unifikacyjny, jak wspomnieliśmy, rodzi się nasamprzód w małych miastach i zwolna obejmuje wielkie centra. Pomagają mu rozwinąć się pisarze tacy jak Muratori, a zwłaszcza G. B. Vico, który pracami swemi i myślami w nich rozwiniętemi przerasta nie tylko swe pokolenie, ale cały wiek XVIII i staje się jednym z wodzów duchowych następnego stulecia.

(Dok. nastąpi) MACIEJ LORET

---

[1]) Por. Vittorio Rossi: „*Nazione e Letteratura in Italia, Discorso inaugurale*“, *Roma* 1917.

NA WIDOWNI

Sprawa odpowiedzialności za cywilizację narodową. — Uśpiona czujność. — Nawet nie wiemy, co grozi. — Czy to mistycyzm? — Sprawy ducha są donioślejsze od materjalnych. — Walka z narodem za pomocą trucizny.

PRZYSŁANO mi wycinek z krakowskiego „Nowego Dziennika“ z artykułem, w którym jakiś publicysta żydowski zajął się paru memi wystąpieniami w prasie. Okazję do ataku na mnie znalazł autor w tem, że dotknąłem gdzieś Boya-Żeleńskiego, co jest według niego niedopuszczalne: „pierwsza lepsza psina nastawia nogę, by zanieczyścić fundament popularności Boya“. Poruszyła go do żywego opinja: 1) o nierozerwalności małżeństwa, jako zasadzie rodziny, 2) o młodzieży polskiej, która nam lepszą przyszłość zapowiada, 3) o dążeniu do samostarczalności cywilizacyjnej. Niczem nie legitymując się z prawa wtrącania się do mojej rozmowy z moimi czytelnikami, utrzymuje, że mogę być uznawany tylko przez „endeków, cierpiących na chroniczny katar myśli“, cechą zaś mego pióra jest „mglistość koncepcji, stale zaczadzona mistyka i nieuleczalna czkawka stylu“.

Przestano się u nas dziwić tym nienormalnym stosunkom w życiu umysłowem, że ludzie z ducha swego obcy naszej cywilizacji wtrącają się do rozmów o rzeczach, które im się wydają mistyczne, tak są niedostępne i że ich opinje mają wszelkie szanse zagospodarowania się w społeczności. W tym wypadku mogłoby zdziwić, że kłopocze się tak o naszą myśl dziennik, przeznaczony dla żydów, ale ten sam autor ma wszelkie szanse napisania tego samego jutro w „Wiadomościach Literackich“, bodaj nawet w „Tygodniku Ilustrowanym“.

Weźmy inny przykład. Jerzy Szaniawski, utalentowany dramaturg, w ostatniej sztuce (o której pisałem ostatnio na tem miejscu) pozwolił sobie na temat z zagadnień cywilizacji. Krytyk „Wiadomości Literackich“ p. A. Słonimski, nie mający żadnego uczuciowego dostępu do tych zagadnień, ale przecież wiele rozumiejący, dał w sprawozdaniu wyraz swej idjosynkrazji. Udając, że nie rozumie symbolów, kompromituje bez skrupułu pisarza, żeby go pokarać. Słuchając jego koncepcyj idealistycznych o cywilizacji — jak sam wyznaje — miał uczucie, że go „ktoś buja i mistyfikuje“. „Słowo mistyfikuje — dodaje — nie bez powodu jest spokrewnione z mistyką. Szaniawski stwarza mistyczny nastrój wokół rzeczy zwykłych i nawet dość głupkowatych“.

Widzimy, że obaj pomienieni pisarze pracują gorliwie nad tem, aby tematy budowania swoistej cywilizacji według jakichś zasad i w jakimś stylu z idealistycznem zaparciem — podać za „bujanie“, a samą cywilizację za mit. To też z uczuciem ulgi przeniosłem wzrok na artykuły aryjczyka Stanisława Szpotańskiego w „Kurjerze Warszawskim“, poświęcone zagadnieniu cywilizacji i kultury. Co to jest cywilizacja i kultura? Kto się z was zastanawiał nad rozróżnieniem tych pojęć?—zapytuje czytelnika. „Mam wielką radość“ — wyznaje w drugim ze swych artykułów. — Cóż się stało? Oto otrzymał parę listów, świadczących, że są w Polsce ludzie, którzy potrafią o tych rzeczach myśleć.

Kiedyż o takie rzeczy pytać, jak nie teraz, gdy Polska już zrosła się i powinna mieć wszystkie dane po temu, aby jej wyobraźnia ogarnęła całość bytu, a z drugiej strony — gdy tyle ataków przypuszczono do murów naszej cywilizacji, aby je podkopać.

Dzięki czemu ocalała Polska, pomimo iż zniszczono jej ustrój polityczny? Utrzymała ją przy życiu ta reszta struktury cywilizacyjnej, która pozostała. Trudno zniszczyć wytwory ducha, ale — pokazało się — najtrudniej zniszczyć samego ducha, który cywilizacja utrwaliła swoją kulturą. Dusza polska przetrwała, chora coprawda, ale przetrwała dzięki swej kulturze. Kulturę daje duszy tworzenie. Człowiek tworzy cywilizację, ale sam jest najcelniejszym jej dorobkiem. Przez to, że ją tworzy, że w jej obrotach zostaje, zdobywa kulturę. Jest ta kultura ekstratem duchowym cywilizacji, dającym się przekazywać dziedzicznie. Wszystko w cywilizacji może zniszczeć, ale uratowana dusza może ją stworzyć na nowo w tym samym stylu.

Kultura wiąże duszę ze swoją cywilizają w jedną całość; stąd przywiązanie uczuciowe do własnej cywilizacji, albo też awersja do tej, w której się żyje, a z którą dusza nie ma nic wspólnego w swojej kulturze. Nie mogą dzielić z sobą pracy twórczej ludzie, z których jeden ma dla dzieła miłość, a drugi awersję. Więc dla tego drugiego pierwszy ma zlikwidować swoją cywilizację?

Człowiek z ambitną ideą tworzenia nie może pozwolić, aby mu w jego własnej mowie, będącej jego pierwszym tworem, ktoś rzucał w duszę jad zwątpienia i szydził z jego „mistyki“. Cóż jest ostatecznem zadaniem dla jego ducha i rąk, jak nie tworzenie cywilizacji, a cóż tej cywilizacji znowu celem, jak nie to, by wytworzyć przez kulturę kompletnego człowieka?

Cywilizacje są jak niebosiężne budowle, z których szczytu narody podają Bogu duszę swego człowieka. Wykładają one na stół konkursowy świata dzieła literatury i sztuki, w których wypowiada się kultura człowieka. Kto w dzieło patrzy, to jakby przekroił drzewo, liczy krążki historyczne działania cywilizacji, której dziełem jest dusza, podziwia jej kulturę. Chwała historyczna jest rewją wielkich duchów narodu. Paść może cywilizacja, ale na wieki zostanie jej chwała i wpływ w „wywiadach“ Marka Aureljusza.

Jakże dumni byli Polacy przed stu laty, że mogli wyłożyć przed światem księgi Mickiewicza! Wiedziano, że nie zginie cywilizacja, która doszła do takich rezultatów w kulturze ducha. Widocznie jednak wielkie zniszczenie nastąpiło w jej organizmie, skoro dziś wykładamy na stół świata książkę Kostka - Biernackiego. Patrzcie, oto najświeższy, autoryzowany model naszej duszy! Gdyby świat uwierzył, że taki jest istotny stan duszy polskiej, że już tak przeinaczył się styl cywilizacji, której podwaliny kładli apostołowie chrześcijaństwa, toby musiał się od nas odwrócić.

To, co myślę o cywilizacji i kulturze, odpowiada definicji Szpotańskiego, wyrażonej w słowach: „Kultura jest duchowym stanem i siłą psychiczną, wytwarzaną i urabianą przez daną cywilizację i dane cywilizacyjne okresy, i służącą do dalszego tej cywilizacji rozwoju“. Nauce o cywilizacji i dydaktyce, nawet popularnemu myśleniu takie rozróżnianie pojęć jest potrzebne dla samej metody ujmowania tego bardzo złożonego zjawiska.

Życie przyrody w swych funkcjach jest tajemnicą, a metody, które sobie z nią radzą, nie są przecież mistyczne. Nie o mistycyzm antagonistom cywilizacji chrześcijańskiej chodzi, nie o czystość

naukową metod poznawania, chodzi o to, aby Polacy sobie nie zdawali sprawy z obowiązków swoich wobec swojej cywilizacji, abyśmy w oczach mieli chaos i mniemali, że dowolność jest prawem życia.

Świadomość praw, rządzących przyrodą cywilizacji, której jesteśmy twórcami, jest nagłą, elementarną potrzebą naszego wykształcenia obywatelskiego, choćby dlatego, że akcja wychowawcza, a nawet polityczna, mająca na celu zbłąkanie naszego stosunku do życia, jest organizowana i ma na posługach wpływowych Polaków. Kiedy zaś wpływowość człowieka jest odwrotnie proporcjonalna do jego mądrości, to dowód, że dzieje się coś bardzo złego w zasadniczych funkcjach cywilizacji.

Definicja cywilizacji i kultury będzie niekompletna, dopóki nie wprowadzimy do niej pojęcia narodu. Cywilizacja jest najogólniejszym pojęciem bytu narodowego. Jest to postać życia narodu, który ją wytworzył i który dał jej świadomość dziejową. Pojęcie cywilizacji zawiera w sobie tytuł własności narodu i jego suwerenności.

I tu tkwi sedno sprawy. Ci, co podkopują się pod naszą cywilizację, traktują Polskę objektywnie, jako sumę pewnych dóbr, sił i korzyści terytorjalnych, któremi radziby się podzielić i gospodarować w Polsce na prawach współwłaścicieli. Nasze prawa gospodarza chcą tedy ośmieszyć, zwąc je mistycznemi. Aby rozluźnić nasz stosunek duchowy do objektu cywilizacji, niszczą naszą psychikę, wprowadzając siłą albo przez wychowanie motywy zupełnie obce naszej przeszłości. Nie chodzi więc im o mistykę naszych pojęć, lecz o to, aby wiedza o cywilizacji nie utrzymała się na gruncie tego pojmowania, że cywilizacja jest dla narodu tytułem suwerenności.

Dzieje narodu wewnętrzne są procesem tworzenia cywilizacji i przez nią kultury, a zewnętrzne polegają na obronie tej cywilizacji od innych ustrojów, któreby pragnęły gniazdo zdezorganizować i dobrami jego zawładnąć. Próbowano na nas zamachów zaborczych w rachubie, że państwo jest wszechwładne, więc zastępując je swojem, można cywilizację zniszczyć. Teraz są czasy działań wrogich kombinowanych, podbój Polski przeniósł się na wewnątrz, amatorzy naszej cywilizacji są praktycznymi psychologami, działają truciznami na p o d m i o t cywilizacji, na kulturę polską, aby zatruta dusza narodu bezradnie wypuściła z ręki ster dziejów. Tak znaczny udział Polaków w tej zbrodniczej akcji jest miarą, jak schorzała nasza kultura w niewoli, i dowodem, jak niezbędna jest praca nad uświadomianiem obywateli, że walka o duszę polską jest obroną największego naszego dobra: cywilizacji.

Niszcząc ją, wykreślamy się z mapy świata historycznego.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

OGŁUSZANYM PROPAGANDĄ SWOJSKĄ w znanych nam wszystkim sprawach, trudno wyobrazić sobie, jakie nadzieje od roku wiązano na Zachodzie z konferencją rozbrojeniową, i jaką w związku z tem rozwinięto tam akcję propagandową. Była ona bardzo silna nawet w krajach, gdzie współdziałanie opinji w tej sprawie niewiele mogło znaczyć w gruncie rzeczy; bo w jakim stopniu np. oszołomienie publiczności angielskiej hasłem rozbrojenia zaważyć może na wynikach międzynarodowej konferencji w Genewie? Zapewne, łatwo zrozumieć wagę, jaką przykładają „pacyfiści“ do propagandy swojej idei. Niewątpliwie popularne pojęcie jakiejś, abstrakcyjnie ujętej „natury ludzkiej“ jest w pewnej mierze fikcją w zastosowaniu do zagadnień politycznych i społecznych. Postępowanie narodów i społeczeństw zależy nietylko od tej niewiadomej, zwanej algebraicznie „naturą ludzką“, lecz również od suggestyj, przedewszystkiem tradycyjnych, ale także i innych, wywierających wpływ na umysły. Zrozumieć więc można wysiłek, jaki pewne koła na Zachodzie wkładają, żeby poddać wolę i duszę społeczeństw suggestji pacyfizmu. Z punktu widzenia interesów owej akcji można uznać celowość tej roboty. Dziwić się tylko trzeba, że do agitacji, przeznaczonej dla najwyższych cywilizacyj Zachodu, wprowadzotak dużą dozę niskiego kłamstwa. Posługiwano się na wielką skalę środkami tak grubemi, że nawet przeciwnik idei pacyfizmu wstydzić się nieraz musiał za jej orędowników. Jakże często głoszono, że wszelka wojna jest zbrodnią, że poświęcenie dla Ojczyzny znieprawia duszę człowieka, że nacjonalizm jest głównie wyrazem instynktów krwiożerczych i t. d. W szczególności od samego początku tumaniono opinję co do roli i użyteczności Ligi Narodów, jako narzędzia pokoju, i w sposób nieodpowiedzialny przyzwyczajano do wyglądania od instytucji genewskiej — pomocy w razie wybuchu konfliktów międzynarodowych. Najsilniej nastawali na to ci właśnie, co najgłośniej obwieszczali o znaczeniu m o r a l n e m Ligi, jako autorytetu nadnarodowego. Ci właśnie najusilniej dbali o to, aby autorytet to był czysto moralny, nie wymagający ofiar ze strony członków. Wyrazicielką tego poglądu była przedewszystkiem Anglja.

PISZEMY W CZASIE PRZESZŁYM, gdyż jasne jest, że wchodzimy w okres kryzysu kłamstwa pacyfistycznego. Trzeba wielkich kłamstw nowych, aby ze starych uratować, co się da. Trzeba konstruować tezę, że niema obecnie wojny chińsko-japońskiej. Trzeba utrzymywać, że nie wiadomo, które z tych państw jest właściwie napastnikiem. Trzeba wywodzić, że bombardując Szanghaj i Nankin, Japonja wcale nie ma na oku celów swojej polityki narodowej, że przeto nie złamała wcale paktu Kellogga... Wogóle zadziwiające, jak mało słyszy się w tych czasach o pakcie Kellogga. Był to najuroczystszy i najświętszy z tych paktów, które organizację pokoju światowego oparły wyłącznie na czynnikach „moralnych“, wolny od tych niezbyt radykalnych postanowień o „sankcjach“, jakie pod tym względem skaziły pakt Ligi. Niezrownaną wartość paktu Kellogga, wartość praktyczną właśnie, najgłośniej otrąbiła propaganda anglo-amerykańska. Przedziwne, jak mało wzruszyła się tem zobowiązaniem Japonja, łamiąc pakt Kellogga, z prawniczego punktu widzenia niemal swawolnie. Rezultat? Dołożono wszelkich starań, aby Japonja dalej pozostała w Lidze, i jako członek Rady dalej stała na straży... międzynarodowego pokoju. Wskutek tego pokój światowy narazie zabezpieczono najmniejszym kosztem, bo jedynie... kosztem napadniętego. Trudno w tych warunkach mówić o bezsilności Ligi. W szeregu obrońców paktu Ligi dalej stoi, z całą swą siłą zbrojną, — Japonja.

PRZEDSTAWICIELE JEJ W RADZIE PRZY OKAZJI GOTOWI SĄ wydać surowe świadectwo tym państwom, co ściągną na siebie niezadowolenie międzynarodowego areopagu. Świeżo jedno dostało ostrą cenzurkę od d-ra Sato. Dyplomata ten złożył Radzie Ligi stosowny raport o zdarzeniach, zaszłych przed dość niedawnym czasem w owem państwie. „Jest rzeczą niemożliwą oświadczył dr. Sato — nie widzieć w nich oznak, zresztą przejściowych, które nie w zupełności są zgodne z gwarancjami, jakie chciano zapewnić mniejszościom narodowym, gdy ustanawiano system opieki nad niemi ze strony Ligi Narodów. Wyraziłem już swój żal co do sytuacji nietylko godnej pożałowania, lecz i potępienia“ — ciągnął dalej dr. Sato. Państwem, któremu udzielił takiej nagany (w dniu 30 stycznia r. b.) była Polska. Niewątpliwie rzecznictwo świętości zobowiązań międzynarodowych znalazło w osobie prawnika japońskiego godnego przedstawiciela. Dziwniejsze to, że pisma sanacyjne w zainteresowanem państwie określiły raport powyższy jako „Druzgocące zwycięstwo Polski w Genewie“. Tak wyraził się „Ilustrowany Kurjer Codzienny“ z dn. 1 lutego b. r., półurzędowa „Gazeta Polska“ cieszyła się podobnie. Bezsprzecznie, jeśli chodzi o styl mocarstwowości, mniejsze mamy wymagania od Japonji.

DLA WIELU PRZYCZYN trudno oczekiwać jakichś poważniejszych wyników pracy konferencji rozbrojeniowej, zasiadającej w Genewie. W każdym zaś razie w związku z tem nie może być mowy o rozbrojeniu Polski. W jej położeniu, i przy jej arcy-skromnym budżecie wojskowym wyłączona jest wszelka uczuwalna redukcja siły zbrojnej. Cokolwiekbądź decyzje konferencji przyniosą światu, napewno nie przyniosą uszczuplenia naszej armji. Nie może na to zgodzić się żaden rząd w Polsce, który się nie składa ze zdrajców. O rozbrojeniu Polski zatem wogóle nie może być mowy, może za to zdarzyć się łatwo rozbrojenie... naszych delegatów. Jak się to odbywa, pokazał przebieg ostatniego, czerwcowego posiedzenia Rady Ligi Narodów. Państwo nasze reprezentował tam jako naczelny delegat p. Franciszek Sokal. W toku obrad wywiązała się dyskusja między nim, a przewodniczącym na sesji Hendersonem. Delegat nasz przeciwstawił się uroszczeniom przedstawiciela Niemiec. Zaprotestował przeciw żądaniu jakichkolwiek dalszych wyjaśnień w sprawie wyborów na Śląsku, i oświadczył imieniem Państwa Polskiego, że sprawa ostatecznie skończona. Henderson nie przyjął tego oświadczenia do wiadomości, stwierdził, że sprawa nie jest skończona, i że przedstawiciel Polski odnośne wyjaśnienia jeszcze złoży. Na to p. Sokal odpowiedział, że... złoży. Incydent nabrał rzadkiego rozgłosu wobec niezwykłej stanowczości tonu Hendersona, i został rozsławiony na łamach prasy angielskiej. Tygodnik *„The New Statesman“* np. wydrukował opis zdarzenia wśród komentarzy politycznych na miejscu naczelnem. Obecnie przewodniczącym konferencji będzie znowu Henderson, a wśród delegatów polskich widnieć będzie znowu charakterystyczna sylwetka p. Sokala. Mocarstwo nasze obejść się bez niej nie może zagranicą. Wogóle skład delegacji polskiej na konferencję rozbrojeniową dobrany został według zasady odmiennej, niż personel M. S. Z. W tem ostatniem nastąpiła „militaryzacja“, w delegacji znawstwo spraw wojskowych reprezentować ma jedyny delegat fachowiec, gen. Burhardt-Bukacki.

SKONFISKOWANO

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

Profesor romanistyki w uniwersytecie Lwowskim, Edward Porębowicz otrzymał od króla włoskiego komandorję orderu *„Corona d'Italia“* za zasługi położone w studjach nad literaturą włoską, a przedewszystkiem za przekład Dantego. Profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, Władysław Konopczyński mianowany został członkiem Akademji Umiejętności w Sztokholmie.

*

Do ciekawszych dyskusyj literackich ostatniemi czasy należała dyskusja w sprawie przekładu powieści Hamsuna „August powsinoga“ (wyd. Bibl. Laurentów Nobla). Tłumacz, którym jest najlepszy w Polsce znawca Hamsuna, Czesław Kędzierski, znany już poprzednio z przekładów „Głodu“, „Błogosławieństwa ziemi“, „Misterjów“ i „Włóczęgów“, sprostał swemu zdaniu w zupełności, tak pod względem rzeczowym jak i stylistycznym. Warto wiedzieć, że Kędzierski — prócz S. Kołaczkowskiego — jest dziś bodaj jedynym literatem polskim, znającym dokładnie język norweski i sięgającym zawsze wprost do oryginału. Nie można tego powiedzieć o innych tłumaczach, o takiej naprzykład osławionej już Wandzie Kragen, która sparodjowała na podstawie niemczyzny „Krystynę córę Lawransa“, a nawet i o cenionej powieściopisarce, Kuncewiczowej, która w przekładzie „Pani Hielde“ (wyd. „Rój“) kładzie niemiecki wyraz *Strasse* na miejsce norweskiego *Gade*, a co gorsza „lichą spódniczkę“ nazywa „miłosierną“ (oczywiście wskutek niezrozumienai niemieckiego wyrazu *„erbärmialih“*, etc. etc. Nietylko literacki język norweski (będący właściwie filjacją duńskiego) znany jest Kędzierskiemu; umie on wniknąć i w różne djalekty, w które obfituje zwłaszcza północna część kraju i archipelag lofodzki. Żeby tę rozmaitość językową należycie oddać, posłużył się Kędzierski w niektórych partjach swego przekładu gwarą wielkopolską, dotąd jeszcze dość rzadko spotykaną w literaturze (młodzieńcze poematy i dramaty Kasprowicza, utwory Wilkanowicza etc.). To dało asumpt pisarce I. Krzywickiej do ordynarnej napaści na tłumacza, zamieszczo-

nej w jednym z tygodników literackich. Redakcja owego tygodnika nie pierwszy raz zdradza swą ignorancję na polu językowem (napiętnowaną kiedyś w „Języku Polskim" oraz w innych pismach), a p. Krzywicka nie pierwszy raz kompromituje się nieznajomością zarówno metod krytycznych jak języka i literatury polskiej, co oczywiście dyskwalifikuje ją zupełnie jako recenzentkę książek. Nie trzeba być specjalnie ani krytykiem ani polonistą, by znać dzieła Sienkiewicza, Żeromskiego, Skargi, gdzie spotyka się takie zganione przez p. Krzywicką wyrazy, jak „harować", „chwarst", „odziemek" i „wzbogacieć" etc. etc. Słuszną odprawę p. Krzywickiej dali: Stan. Wasylewski, J. E. Skiwski i in., teraz zaś (w „Kurjerze Poznań.") sam tłumacz, wykazawszy recenzentce czarno na białem, że nawet... nie czytała książki, którą „oceniała". Powinszować zatem sumienności — i wiedzy!.. (B).

*

W nr. 59 „Myśli Narodowej" z r. 1931, prof. Ignacy Chrzanowski, omawiając czterotomowe, nowe wydanie dzieła Gabrjela Korbuta „Literatura Polska", wspomniał o ujemnych recenzjach tego dzieła. Ustęp ten brzmi:

„Znalazł się wszakże — po ukazaniu się pierwszego wydania „Literatury Polskiej" — historyk literatury, i to zdolny i także rozmiłowany w bibliografji, który dzieło Korbuta odsądził od czci i wiary: dr. Stanisław Lam. A świeżo, po wyjściu wydania drugiego, także odsądził je od czci i wiary: dr. Wiktor Zakrzewski, który w redagowanym przez dr. Stanisława Lama, a wydawanym przez firmę księgarską „Trzaska, Evert i Michalski" „Przeglądzie Literackim", zakwestjonował nawet „celowość wydania „Literatury Polskiej" w tej formie, zwłaszcza, że użyto na to funduszów publicznych". Nawiasem niechaj wolno będzie zaryzykować przypuszczenie, że dr. Stanisław Lam i dr. Wiktor Zakrzewski, to nie dwie osoby, tylko jedna".

Z powodu tego przypuszczenia dr. Stanisław Lam prosi w liście redakcję „Myśli Narodowej" o podanie wyjaśnienia:

„Kategorycznie stwierdzam" — pisze dr. Lam, — „iż z autorstwem wspomnianego wyżej artykułu „Przeglądu Literackiego" nie mam nic wspólnego".

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Jako odbitka z „Dziennika Wileńskiego" ukazała się mała książeczka, napisana przez prof. Stanisława Cywińskiego, a nosząca tytuł „Kartki z pamiętnika" (1914—1920). W przedmowie autor sam wyjaśnia genezę tych „kartek" oraz cel ich opublikowania. Jest to istotnie pamiętnik z czasów wielkiej wojny, pisany dorywczo, bez ciągłości, pod bezpośredniem wrażeniem pewnych wypadków lub przeżyć. Wydrukowany został ściśle w tej formie, w jakiej powstał; tu i owdzie tylko w nawiasach dodano uwagi, formułujące dzisiejszy pogląd autora na ówczesne wypadki oraz na poruszane w „pamiętniku" sprawy i zagadnienia. W ten sposób pogłębił się pamietnik, zarówno pod względem formalnym jak treściowym i ideowym; pomimo pozornego rozstrzelenia kompozycyjnego, zyskał właśnie na jednolitości. Zarysowała się tedy wyraziście w całym swym przebiegu — od początku do końca — linja rozwojowa zarówno „fabuły" pamiętnika, jak też (ważniejszej tu znacznie) myśli moralnej i politycznej. Według intencji autora kartki te „uczą, przez jakie trudności inteligent polski, niewychowany politycznie, śród wiru wypadków przedzierał się do prawdy, do beznamiętnego i sprawiedliwego poglądu na wszystkie sprawy przetwarzającego się bytu Polski i świata". Autor przeszedł na tem polu drogę znaczną. Na początku wojny nie był zgoła zorjentowany, próbował dopiero narzucić sobie główne linje wytyczne. Wypadły one mniejwięcej typowo dla znacznej części ówczesnego społeczeństwa: dość stanowcze odżegnywanie się od Niemiec, niedowierzanie w stosunku do Rosji, pewna sympatja dla Austrji. Rezultat nastrojów przedwojennych, kłócący się jednak z sytuacją, stworzoną przez wojnę. Wahanie — a raczej niespokojna obserwacja — jest jedynem ówczesnem stanowiskiem autora w stosunku do polskich stronnictw politycznych. Do „N. D." zrazu jest może nawet uprzedzony czy niechętnie usposobiony; zresztą nawet i później, gdy zwolna przechodzi na stronę jej sympatyków, przecież w niejednej kwestji zachowuje niezależność sądu. Czasem może nietyle sądu, ile uczucia, bo w autorze pamiętnika wyczuwa się naturę o podkładzie silnie lirycznym. Dodaje to niekiedy wielkiej siły, blasku i wyrazistości jego wywodom, niekiedy jednak właśnie je zaciemnia. Prócz obserwacji wypadków, prócz rozmów prowadzonych z wybitnymi ludźmi różnych obozów (Balicki, Hłasko, Marjan Zdziechowski i in.), na kształtowanie się myśli politycznej i etycznej autora wpłynęła i lektura. Obok Pisma św głównie oddziałali nań mesjaniści polscy, zwłaszcza Norwid, do którego najlepszych znawców wszak prof. Cywiński należy.

Jako dokument psychiczny, pamiętniki Cywińskiego są warte poznania. Nie są wszakże bez wartości i dla historyka wypadków wojny r. 1914—1920. Znaleźć tu można fakty niektóre mało znane, a charakterystyczne. Do nich należą zwłaszcza notatki z czasów pierwszego pobytu bolszewików w Wilnie. W epizodzikach, charakteryzujących społeczeństwo rosyjskie z pierwszych miesięcy wojny, ujawnia autor znaczny dar opowiadania. (J. B.).

*

Nakładem miesięcznika „Muzyka" w Warszawie wydana została monografia zbiorowa „Taniec", 2 tomy, z wielu ilustracjami, poświęcona omówieniu istoty, historji i znaczenia tańca pod względem narodowym, religijnym i obyczajowym. Na wstępie 1-go tomu po przedmowie Mateusza Glińskiego o literaturze choreograficznej w Polsce, zamieszczony jest wiersz Kazimiery Iłłakowiczówny „Taniec ofiar". Dalej prof. Witwicki mówi „O naturze tańca", Franciszek Siedlecki o tańcu religijnym i obrzędowym, a Edward Kuryło, w trzech rozdziałach, o tańcu ludowym, dworskim i towarzyskim. Tom drugi wypełnia rozprawa Henryka Lińskiego „Dzieje baletu na Zachodzie" i „Dzieje baletu w Polsce". Wydawnictwo traktowane jest w swej treści i jej idei przewodniej z punktu widzenia historycznego. Taniec, obok muzyki, plastyki i poezji, był wytworem genjuszu narodowego, a przejawy tańca w uroczystościach politycznych, religijnych i rodzinnych ukazywały w estetycznej formie właściwości charakteru narodowego, jego temperamentu i fantazji. Swoista odrębność, moc i wdzięk wyrazu, bogactwo form tanecznych wzmagały się i organicznie wiązały z rozwojem kultury Egiptu i Grecji, a u ludów o niższym poziomie, w Azji i Afryce, przetrwały do dziś jako nieledwie jedyne pamiątki ich społecznego ustroju i religijnej obrzędowości. Rozmaitość tańców ludowych jest wprost nieprzebrana. „Historja sztuki tanecznej", pisze E. Kuryło, „wskazuje, że tańce ludowe są źródłem, z którego artyści czerpać mogą nowe motywy... W swej rytmice i w swych akcesorjach są one też skarbem niewyczerpanym dla innych sztuk, jak plastyka i muzyka, malarstwo dekoracyjne i piśmiennictwo, czy też czysta kompozycja muzyczna. Kryją one wreszcie w sobie nieodgadnione jeszcze tajemnice ducha narodowego, plemiennego, które w swoim czasie będą odcyfrowane. Zagłada tych pierwiastków kultury pierwotnej musi być poczytywana za stratę". Niestety, stwierdza autor, tańce ludowe w Polsce, tak zresztą jak i w innych krajach, zanikają. U nas ślady tańców ludowych pozostały czy powtórzyły się w tańcu „dworskim", co najwyraźniej przejawia się w układzie poloneza i mazura. Tom II-gi wydawnictwa poświęcony jest w całości dziejom baletu w Polsce, i prowadzi czytelnika w atmosferę teatrów i salonów na dworach królewskich i magnackich. Studjum o dziejach baletu w Polsce zostało oparte na szczegółach zapisków kronikarskich od czasów pogańskich, po przez czasy panowania Władysława IV go i Jana Kazimierza, kiedy „balety wykonywane były u dworu przez młodzież znakomitego rodu". Opisy organizacji baletów i ich przedstawień za czasów saskich i Stanisława Augusta ujęte zostały w sposób tak charakterystyczny dla ówczesnych upodobań i mody, że wartoby je dosłownie przytoczyć, gdyby dla odpowiedniego wrażenia była możność zamieszczenia ilustracyj obok tekstu. Obrazkowa strona, jak naprzykład, rycina przedstawiająca „Balet na cześć ambasadorów polskich w 1573 r.", „Balet w teatrze Narodowym za Stanisława Augusta", albo balet w teatrze ks. Radziwiłła w Nieświeżu, godnie ilustrują literacki tekst powyższego studjum. Reprodukcje gestu i sylwet, zbiorowych kompozycyj tanecznych, kostjumów i dekoracyj u ludów pierwotnych i społeczeństw europejskich dobrano z artystycznego dorobku różnych narodów i stuleci. (A. W.).

*

Entuzjasta góralszczyzny, Jan Aleksander Zaremba ogłosił nakładem własnym antologję opowiadań ludowych, pisanych melodyjną gwarą, pod zbiorowym tytułem: „Stare pogodki łod Zywca", Żywiec, 1931. Niewielki tomik, który leży przed nami, zagaja całą serję podobnych wydawnictw; stanowi „Zbier I." Wywodzi się ów zbiór z prawdziwego przywiązania i sentymentu dla Żywieczczyzny; świadczy też o zadomowieniu się niezwykłem autora wśród spraw i rzeczy opisywanych. Wstępna introdukcja objaśnia czytelnikowi zamiary wydawcy. Szło mu o zachowanie ginącej, niestety, gwary żywieckiej, najbardziej okraszonej archaizmami wśród narzeczy podhalańskich. J. A. Zaremba dobywa pewną ręką te osobliwości wyrazowe i utrwala ich niepo-szlakowanie polską melodję. A ktokolwiek pisał gwarą, wie doskonale, jakie to trudne zadanie i jak wykonywać je trzeba nietylko ze znajomością sprawy: także z pasją i zapamiętaniem. Gawędziarz nasz wyznaje, że radby wzbudzić dookoła

zainteresowanie większe dla żywieczczyzny; uda mu się to niewątpliwie — wszak o rzeczach bliskich rozprawia słowem o wysokiej temperaturze uczuciowej i z entuzjazmem, który zawdzięcza żywemu obcowaniu ze światem opisywanym. Pierwsza serja „Pogodek" ukazuje „obraz życia górali w spokojnych latach przedwojennych". Wślad za nią pójść mają opowieści pasterskie, o bacach i juhasach, potem zbójnickie, wsparte materjałem archiwalnym, studjum kronik i dokumentów. Epopea góralska czasu wielkiej wojny znajdzie w J. A. Zarembie podobnie powołanego dziejopisarza. Jako prosty szeregowiec, przeżył autor emocje i wzruszenia wojenne, miał też tysiąc sposobności do obserwacyj, godnych niewątpliwie utrwalenia. Góral na froncie — góral w wojsku austrjackiem, zabłąkany w doliny Karsu, wśród walk z dalekimi „Taljanami", ma być bohaterem jednej z następnych seryj „Pogodek". Zyskał już zresztą naszą pełną sympatię dzięki talentowi Jerzego Kossowskiego, który lubi gwarzyć o tej góralskiej Iljadzie i Odyssei, jak z „Kawerny Nr. 7" szła do „Zielonej Kadry", w trosce i obawie serdecznej o dalekie i niepewne „Powroty" — do siebie, pod Nowy Targ, na hale. To też ze zrozumiałą ciekawością wyglądamy relacji Zaremby, który nadto chce dać w specjalnych tomikach opisy zwyczajów miejscowych, zaginionych i ginących, i poświęcić kilka kart muzyce żywieckiej i pieśniarstwu, zwłaszcza okolicznościowemu.

Tomik obecny wyposażył autor w bogate, objaśniające przypisy językowe, których walory, jakoteż metodę zapisywania tekstów, ocenić w pełni mogą pióra bardziej powołane. (T. M.)

*

„Mozajka" („*A Motley*") Galsworthy'ego, wydana ostatnio przez „Rój" jako dzieło XX wieku, jest bezsprzecznie w mniejszym, lub większym stopniu dziełem sztuki napisanem po roku 1900 — nie jest natomiast dziełem XX wieku. Nastrój jest w niem z zeszłego stulecia i idee społeczne także. Ten szereg literackich *essay*'ów — u nas nazwalibyśmy je fejletonami — na które składają się portrety psychologiczne, momenty obyczajowe, obrazki natury, pełne często złośliwego humoru szkice alegoryczne, nastroje i jakie jeszcze nazwy możnaby dla nich znaleść — to dzieło tego człowieka, który pisał pierwszy tom „Sagi Forsyte'ów". Z powieścią tą łączy je nawet ściśle pierwsze opowiadanie: „Portret", które jest niewątpliwie pierwszym szkicem postaci starego Jolyona. Niema w nim jeszcze tyle poetycznego natchnienia, ani tego bogactwa i głębi, jakie kryją się w postaci owego patrjarchy w cylindrze, rzuca się natomiast w oczy niezmierna trafność i drobiazgowość obserwacji — podstawy i źródła tak znakomitej syntezy epoki, jaką stała się „*Forsyte Saga*". W „Mozajce" wiek XIX nie przedstawia się jeszcze dla autora jako coś skończonego, sam on jeszcze należy do tej epoki majestatycznego i spokojnego o swój los mieszczaństwa i „nędznych wyrobników", którym nie śniło się jeszcze o zapomogach dla bezrobotnych i ośmiogodzinnym dniu pracy. Ma to jednak i swoje zalety. Wycieczka w czasy, pozbawione codziennych rewelacyj i walenia się światów, daje chwilę spokoju na zastanowienie się nad człowiekiem i jego duszą, nad przyrodą i nad życiem — dziś niema na to czasu w literaturze. I właśnie te małe obrazki życia i natury, malowane nietylko ogromnie trafnie, ale z sercem miłującem, spokojne i poważne, pozbawione brutalnego erotyzmu i pełne subtelnego humoru — obrazki z codziennego życia, jakich dzisiejsza literatura apologizująca owe życie codzienne stworzyć nie byłaby w stanie — one właśnie sprawiają, że zamykamy książkę z owem uczuciem lekkości i zadowolenia, jakie budzi się przy zetknięciu z prawdziwą sztuką.

Forma jest, jak wspomniano, u nas mało znana. I może właśnie dlatego owo jakby otwarcie na mgnienie oka malutkiego okienka na świat podoba się i bawi. Kilka refleksyj, rzuconych mimochodem, jeden obraz — dają materjał do długich rozmyślań, wzbogacają więcej doświadczenie, niż niejedne długie rozprawy.

Przekład Zofji Lasockiej bardzo słaby, robiony, zdaje się, na kolanie i nieznośny przez widoczną niemożność oderwania się od angielskiego myślenia językowego; szczególnie razi nadużywanie słowa „raczej", które niezawsze jest odpowiednikiem angielskiego „*rather*". Jeżeli polscy pisarze nie mogą pisać, niechże przynajmniej odbiorą przekłady z rąk niepowołanych. Wdzięczne to, a niełatwe zadanie. (A. M.)

*

Akademnickie Koło Łomżan w Warszawie wydało książkę: „1919 — 1931 r. Praca Zbiorowa" str. 51 w Drukarni Społecznej, ozdobioną pomysłowemi i charakterystycznemi rysunkami widoków Łomży. W Słowie Wstępnem artykuł A. Suchockiego „O kołach prowincjonalnych słów kilka", i Andrzeja Schmitta „Rys historyczny A. K. Łomżan w Warszawie", w których, jak i w artykule Fr. Grochowskiego „Stowarzyszenia samopomocowe a polityka", nakreślony jest z młodzieńczą werwą program pracy dla Polski. Poetycznie przedstawia Piotr Kowalewski historję ziemi kurpiowskiej i miasta Łomży od czasów najdawniejszych, ze szczegółowym opisem udziału mieszkańców Łomży w walkach o niepodległość. Sądy rosyjskie po stłumieniu powstania w 1831 r. skazały z samej Łomży około 400 osób na dożywotnie więzienie, zsyłkę na Sybir lub karę śmierci. W miejscu egzekucji i cmentarza skazanych na śmierć, na placu niedaleko miasta przy szosie zambrowskiej, wzniesiony został w 1916 r. pomnik, na którym wyryto dwie skrzyżowane kosy i krzyż, otoczony cierniowym wieńcem, oraz napis „Bojownikom za za wolność Ojczyzny cześć". Poza tem na pamiątkę tych tragicznych zmagań złożono w Muzeum Łomżyńskiem Tow. Krajoznawczego kilka kul, wydobytych z Narwi koło Kępy, jako resztki amunicji powstańczej, zatopionej przez wojska rosyjskie. Jeszcze w czasach zaboru, gdy rząd rosyjski budował coraz nowe cerkwie i koszary, miejscowe społeczeństwo polskie tworzyło instytucje kulturalne, Tow. Śpiewacze „Lutnia", Teatr amatorski, Czytelnię Publiczną, Ochotniczą straż pożarną i Tow. wioślarskie. A w czasie wojny w r. 1920 twierdza łomżyńska wstrzymywała nawałę wojsk sowieckich. Wiele ciekawych i treściwie ujętych wiadomości o życiu wiejskiej koło Łomży ludności, o jej strukturze duchowej, uprawianym przez nię przemyśle tkackim, pieśniach i obyczajach, podaje Piotr Kowalski. Zamyka książkę poemat prozą, pisany tegoż autora w gwarze kaszubskiej „Jesienna noc", i w końcu sprawozdanie z zebrań i odczytów Akademnickiego Koła Łomżan. (A.W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Zwłaszcza dla ludzi, żyjących w wielkiem mieście, gdzie szalone tempo życia pozwala dopiero wieczorem wytchnąć nieco, książka p. Charles Silvestre p. t. „*Pleine Terre*" *(Plon édit.)* sprawia wrażenie dziwnie kojące. Z drugiej zaś strony jeszcze bardziej podkreśla przepaść, jaka w ostatniem dziesięcioleciu zwłaszcza, pogłębiła się pomiędzy życiem miast, a wsi i prowincji. A jednak do tych ostatnich dostają się również dzisiaj wielkie wynalazki współczesne, wśród których oczywiście radjo zajmuje pierwsze miejsce. W sielskich obrazach, nakreślonych przez p. Silvestre, jednym z bardzo charakterystycznych właśnie jest moment, w którym stary wieśniak Firmin wsłuchuje się w tajemniczą, niewidzialną muzykę. Pod jej wpływem, jakby jakaś osoba rzuciła mu wyznanie, zdejmuje on buty i w takt... fox-trotta tańczy miejscowy taniec „*la bourrée*", akompanjując sobie innym, bardziej swojskim śpiewem. Książka ta, opiewająca piękności prowincji Limousin, jest w rzeczy samej niezmiernie barwną mozajką pejzaży, a równocześnie i galerją typów chłopskich, pełnych zdrowej poezji, zaczerpniętej rzeczywiście z „*Pleine Terre*". (I. B.)

*

„*La Nouvelle Eurydice*" (Grasset édit.) posiada rytm powolny, a uczucia jej bohaterów dużo tajemniczości. Są oni w liczbie trzech: Emmanuel d'Olinsauve, jego żona Teresa i młody Stanisław Langelier, przyjaciel tego pierwszego. Gdy umiera mu matka, Emmanuel zaprasza go do siebie. Stanisław zdaje sobie sprawę, że pomiędzy młodem małżeństwem nie panuje zupełna harmonja, Emmanuel musi kochać jakąś inną kobietę. Dowiaduje się nawet, że pewnej nocy chciał się zabić. Teresa oczywiście Stanisławowi nie jest obojętną; młody człowiek jest jej napewno sympatyczny, ale ani czytelnik, ani on sam nie wie, jak daleko idzie ta sympatja. Stanisław opuszcza dom przyjaciół, a kiedy pewnej nocy nękany wspomnieniami i miłością do Teresy powróci na wieś, ujrzy ją tylko przelotnie nad ranem, jakgdyby uciekającą. Tajemnica trwa w dalszym ciągu. W międzyczasie Stanisław pracuje, staje się nawet znanym pisarzem i znowu pewnego razu udaje się do Vivombre, ale po to, by dom d'Olinsauve zastać zamkniętym. Stara służąca Pascaline opowie mu, że Teresa umarła po owej nocy, dostawszy zapalenia płuc, i że kochała Stanisława. Ten jakoby niedowierzając służącej udaje się do księdza, który znowu zapewnia go o żywem uczuciu, jakie łączyło męża z żoną. Stanisław wreszcie w Paryżu odnajduje Emmanuela, opuszczonego i biednego, który mu powie, że jeżeli wówczas chciał się zabić, to nie dla innej kobiety, ale dla Teresy, która kochała Stanisława, chcąc w ten sposób się poświęcić, by oni byli szczęśliwi! Czy Teresa czy Stanisław: czytelnik sam osądzi, bo wreszcie i Emmanuel zabije się. Książka ta napisana jest stylem bardzo czystym, pozbawionym wszelkich górnolotnych okresów. Ta jędrność języka tem więcej dziwić może, gdy się wie, że autorką powieści jest kobieta: pani Marguerite Yourcenar, która niewątpliwie pozostaje pod wpływem szkoły Gide'a. (I. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

„GRAFIKA“ (zeszyt 6, 1931 r.) Treść: Jana Muszkowskiego „Antykwa Polska Adama Półtawskiego“, St. M. Sawickiej „Drzeworyt ludowy z Podhala“, F. S. „Szkoła przemysłu graficznego w Warszawie“, H. A. Krugera „Monotyp“, T. Gronowskiego i A. Półtawskiego „Wzory układów drukarskich“ i Kronika.

Zeszyt szósty zamyka pierwszy rok wydawnictwa, następny rozpocznie nowy rocznik. Przy tej okazji redakcja „Grafiki“ składa podziękowanie wszystkim, którzy śledząc rozwój pisma, poparli je i byli mu życzliwi. I nam wypada złożyć życzenia. Niechże drugi rok istnienia stworzy pismu takie warunki, aby mogło się rozwinąć jaknajszerzej. A teraz przystąpmy do omówienia treści ostatniego numeru. Rozpoczyna go dłuższy artykuł J. Muszkowskiego o czcionce polskiej, projektu jednego z najzasłużniejszych grafików starszego pokolenia Adama Półtawskiego. Jest to owoc długoletniego wysiłku i wieńczy studja grafika w zakresie czcionki, oraz pracę nad stworzeniem jej polskiej odmiany. Doniosłość tego wydarzenia łatwo sobie będzie uświadomić, gdy dodam iż właściwie dotychchczas polskiej czcionki niema. Niema, bo wszystko, czegośmy dotychchczas w tym zakresie używali, jest pochodzenia obcego, przeważnie niemieckiego.[1]) Poczynając od najstarszej książki, drukowanej po polsku! Próby w tym kierunku czynił wprawdzie typograf Januszowski, wydając w roku 1594-ym rzecz p. t. „Nowy karakter Polski z Drukarnie Łazarzowey: Y Orthografja Polska: Jana Kochanowskiego, Łukasza Górnickiego, Jana Januszowskiego”. Nowa czcionka jednak nie przyjęła się. Jak widać z tego, zdarzenie sygnalizowane przez „Grafikę“ ma dla kultury naszej znaczenie pierwszorzędnej wagi. Dlatego też czcionkę p. Półtawskiego i zagadnienie nadania cech indywidualnych, narodowych tego rodzaju dziełu omówię szczegółowo w specjalnym artykule. Tutaj dodam tylko, iż p. Muszkowski, po skreśleniu obszernego wstępu, omawia wogóle działalność artystyczną Półtawskiego i daje krótki jego życiorys. Artykuł zdobią reprodukcje prac drukarskich i graficznych Połtawskiego.

Pani St. Sawicka opisuje b. ciekawy drzeworyt ludowy z Podhala, o rzadkim temacie świeckim. Rycina przedstawia przyjęcie nowego towarzysza do bandy zbójników i pochodzi ze zbiorów dr. Tad. Wolskiego. Do artykuliku dołączono piękny faksymil drzeworytu, wykonany w zakładach graficznych Straszewiczów.

P. F. S. informuje o programie i metodach nauczania w Szkole Przem. Graf.. o której pisałem niedawno. Liczne załączniki wskazują na wysoki poziom prac uczniowskich. W dziale technicznym mamy artykuł o monotypie. W kronice znajdujemy liczne i obszerne cytaty z pism amerykańskich (recenzje z wystawionej tam polskiej grafiki). Krytyki, naogół nam życzliwe, nie odznaczają się inteligencją. Np. organ zatoki Hudsona pisze: „Nowy rozwój drzeworytu w Polsce powszechnie przypisują wpływowi wybitnego artysty Wł. Skoczylasa“. Panie profesorze, niech pan się przyzna, nie warto dłużej ukrywać. Dalej: „Podobnie jak w Anglji i w Polsce kobiety stosują drzeworyt jako środek ekspresji“. A o Chrostowskim: „każda z tych rzeczy jest przemyślana i zadowalająca.“ Pozatem dowiadujemy się, iż panna Goryńska jest tam popularna niemal jak Greta Garbo.

[1]) Nie mogę uważać za polską czcionki p. Stan. Jeżyńskiego, z tego tytułu tylko, że autor jej jest Polakiem (patrz: Zegadłowicz „Dziesięć ballad o powsinogach beskidzkich“. Poznań 1929 rok).

*

Obok Bractwa św. Łukasza wystąpili w Zachęcie ze zbiorowemi wystawami swych prac p.p. Czepita i Józef Krzyżański. Pan Czepita orłem nie jest, trzeba mu przyznać jednak pewną ucziwość— nie stara się nas mistyfikować. Natomiast p. Krzyżański imituje pewien rodzaj współczesnego malarstwa, w którem dominują zagadnienia koloru. Imituje, powiadam, gdyż chwyta się tylko pozorów, nie wnikając w istotę rzeczy. Jego akty są brudne, choć artysta chce je zrobić b. kolorowo, brudne i w dodatku słabo rysowane. Stosunkowo najlepiej jest z pejzażami. Pozornie wydaje się, iż p. Krzyżański jest stokroć kulturalniejszy od p. Czepity, ale naprawdę różnica jest bardzo mała. Posiada tylko lepszy węch.

WIKTOR PODOSKI

ZMARLI

Ś. P. JÓZEF KIEDROŃ

PO CIEŻKIEJ chorobie zmarł jeden z najwybitniejszych działaczy narodowych, inżynier Józef Kiedroń, prezez zarządu „Górnośląskich Zjednoczonych Hut Królewskiej i Laury“ i prezes syndykatu polskich hut żelaznych w Katowicach. W latach 1923—25 ś. p. Kiedroń był ministrem przemysłu i handlu. Jego inicjatywie i pracy zawdzięczamy organizację eksportu węgla zagranicę, oraz wyzyskanie dostępu do morza przez stworzenie portu polskiego w Gdyni. Jego ideą był ten port oraz budowa linji kolejowej węglowej do morza. Umysł niezmiernie lotny i wielka wydajność pracy wyróżniły ś. p. Kiedronia z pośród wszystkich kierowników tego działu gospodarki państwowej.

Naród zachowa go w pamięci wdzięcznej jako dzielnego patrjotę, który w osobie swojej wyobrażał duszę Śląska, przyłączającego się z radością do Polski.

Syn ludu śląskiego był, jak Korfanty, polskim tego ludu wychowawcą. Urodzony 1879 r. na Śląsku Cieszyńskim, po ukończeniu akademji górniczej w Leoben, pracował w górnictwie Zagłębia Karwińskiego zawsze w ścisłym kontakcie z ludem, jako jego inspirator narodowy. Po wojnie odegrał wybitną rolę w czasie, gdy toczyła się sprawa między Polską i Czechami o prawa do Śląska. On w r. 1918 prowadził z Czechami pertraktacje w imieniu Rady Narodowej o podział Ziemi Cieszyńskiej. Podczas najazdu czeskiego (niech im Bóg tego nie pamięta!) wywieziony został z rodziną do Czech. Głośny był zamach na niego bojówki czeskiej, z którego szczęśliwie uszedł z życiem. Od r. 1920 pracował na wyższych stanowiskach rządowych w Warszawie, zanim w r. 1923 powołano go na ministra.

Ś. p. Kiedroń ożeniony był z p. Zofją Kirkorową, z domu Grabską, siostrę Władysława i Stanisława. Do niej, jako do najbliższej mu sercem a wiernej i dzielnej współpracowniczki, kieruje społeczeństwo swoje współczucie. Śmierć ś. p. Kierdonia jest ciężką stratą dla Polski, a wszystkich, którzy go cenili i kochali jako prawego i dobrego człowieka, okrywa żałobą.

*

Nekrolog ś.p. Juljana Adolfa Święcickiego damy w zeszycie następnym.

OFENSYWA

INGRATI GRAECULI

W WIELKOPOLSCE, jak zresztą na Pomorzu i na Górnym Śląsku znalazła chleb, dach nad głową, opierunek, no a często gęsto i najlukratywniejsze posady moc Polaków „z pod Austryjaka" i „z pod Moskala". Zwykły proces przesiedleńczy w analogicznych sytuacjach jest taki, że ludzie z Zachodu idą w prowincje wschodnie. U nas z wielu powodów, jak we wszystkiem, tak i w tem wprost przeciwnie. Głębsi znawcy tego problemu twierdzą, że trzy potęgi, złączone u nas w trimuwirat t. j. żydzi przedewszystkiem, potem masony, a potem „austrjaki" w sumie biorąc: Brygada rządząca nie pozwalają na penetrację Wielkopolan do Polski, jako podejrzanych o organiczny, dziedziczny antysemityzm, oraz zamiłowanie do czystości moralnej i normalnej. Zaciętym, mądrym, podstępnym, ale konsekwentnym rzecznikiem i orędownikiem tego już nie ulegającego dyskusji bojkotu na całej linji rodaków „z pod Niemca" jest miasto Kraków i jego elita uniwersytecko-prasowo-legjonowa. Wyrazem tego był zawsze tam intelektualnie miarodajny „Czas" który *tempore belli* gościł i oprowadzał Wilhelma II (Mycielski), poczem w długiej korespondencji przyznał się, że ustami dr. Beauprégo zapraszał Hindenburga do Krakowa [1]) a już kiedy Polska wybuchła, tak we wrześniu r. 1920 (13 i 15) usprawiedliwiał tę całą na wielką skalę przeprowadzoną akcję oku powania zaboru pruskiego zachodnimi Galicjanami:

— „Poza swemi najbliżej leżącemi interesami i sprawami lokalnemi, Poznańczyk nie interesował się niczem: pod wpływem tresury pruskiej doskonale i metodycznie, ze sprawnością maszyny, spełniał to, co miał do spełnienia, nie troszcząc się o to, co inny robił lub myślał;... żył w warunkach uregulowanych do najdrobniejszych szczegółików... nie odczuwając zgoła pod panowaniem jakiego szablonu i jakiej rutyny się znajduje. Słowem — Wielkopolska została doprowadzona do tegoż poziomu, na którym znajdowała się wszędzie prowincja niemiecka, poziomu z „*Kleine Garnison*". Jeśli jednak w państwie niemieckiem prowincja wszędzie była taka, to prócz tego były centra i sfery, gdzie umiano wznieść się ponad tę powszedność. Tragizm Wielkopolski polegał na tem właśnie, że tamtejsze społeczeństwo nie wytworzyło sobie takiego centrum, czy takiej sfery, ale całe od góry do dołu dało się pod ów przeciętny, prowincjonalny szablon podporządkować" (15.X.1920).

Znacznie ostrzej sformułował tą awersję zsemityzowanego i moralnie zdegenerowanego Krakowa do Wielkopolan największy tuz i as obecnego systemu, wojewoda nowogrodzki i kawaler Krzyża Niepodległości, pułkownik Kostek Biernacki w jednej noweli z tomu „Djabeł—Zwycięzca" p. t. „Buszman", gdzie między innemi się czytało:

„do tej dzielnicy kraju, gdzie najprawdopodobniej przez sympatję dla świń, nienawidzą gardzących świńmi żydów, t. j. do poznańskich okolic".

Poznaniowi przez całe dziesięciolecie wysłała Polska moc swoich speców, rutynistów, zdolniaków i klerków. Szły całe transporty „*Kulturträger*'ów" na wszystkie posterunki do szkolnictwa, do administracji, na uniwersytet, do prasy. Szczególnie nadprodukujący inteligencję *alt-Heidelberg*, Kraków ulubił sobie polską Wandeję. Nie setki a tysiące młodych i pośpiesznie nakształconych t. zw. dziadoszów dostawało „ciepłe miejsceczka", dla dobrych p o s a d odstępowało od z a s a d, asymilowało się, mimikryzowało, pozornie akomodowało i lata całe imponowało Poznaniakom cnotami galicyjskiemi t.j. rzutkością, elastycznością, kunsztem zarobkowania lżejszego, towarzyskiem „wyrobieniem" i poprostu spryciarstwem.

Najlepiej na tej transplantacji wyszli młodzi literaci, przyjęci w Poznaniu owacyjnie jako niezbędna i niedobywana w tej dzielnicy sól ziemi. To też cały szereg talentów, znalazłszy tutaj więcej niż poprawne warunki egzystencji, zdołał się szybko rozwinąć, rozkwitnąć i zajaśnieć. Znaleźli pierwszorzędne firmy nakładcze.

I oto, kiedy już wrośli tam dość mocnemi korzeniami, kiedy to i owo zagarnęli, kiedy związali się właściwie w bractwo i w klikę, teraz nagle demaskują się: Ten ich „Dwutygodnik Literacki", to coś istotnie odrażającego. Poczwarne beztalencie, belferska jałowizna, okruchy i śmieci z Michalika, gromadka powsinogów zalatujących na milę najobskurniejszą Galicją, a pretensje... pretensje Lucyferów światłonośców, powoływania się na Berwińskiego, Kasprowicza, Przybysza! Bardzo niefortunny krok zrobił Zegadłowicz, włażąc między tych Papéeków, fraternizując zbyt z takiem kawiarnianem drobiem i dając się podjudzić aż do tych: „Emilencji" i „Klechistanów". Cóż bowiem teraz wypada dalej zrobić tym Krakowczykom? Przyjęli was, nakarmili, odzieli, dali dach nad głową. Wy się czujecie źle w atmosferze Wandei czy Beocji. Duszno jest i nudno, ciężko i szaro, żydów ani na lekarstwo. Najpierw wam to konwenjowało, teraz już to wszystko bokami wam wyłazi. Zrozumiałe. Całkiem zrozumiałe. Czy ciekawiej w Wilnie lub we Lwowie przeżywa dziś życie narybek literacki, to rzecz inna. Ale Wilnianie kochają swe Wilno, a Lwowczyki Lwów.

Wy z Krakowa, „współdziedzice" „wielkiej" „kultury" tamtejszej, Poznania nie widzicie i z Poznaniakami, z Chwaliszewcami oswoić się nie możecie. Lwowianie pono się pogodzili, Krakowczyki nie. Co tedy wypada wam zrobić? Tylko *exodus*. Ci, co się źle czują i kręcą nosami, a więc ci Baliccy, ten Papée, te Staudyngiery, i tem podobne., powinni poprostu pakować manaty i z powrotem do „ojczystego kraju". Nie da się, no, to się nie da. To próżno i darmo! Ani Boya ani Krzywickiej im nie narzucicie przemocą. Lepiej więc strzepnąć kurz z sandałów i z powrotem reemigracja do Galicji, lub na Wołyń, Polesie, tam znów Białorusków Krakowem olśniewać. Dobrych belfrów potrzeba i na Wschodzie.

Ale jeść ich chleb, poprostu objadać ich, zagarniać posadki, wygryzać *viribus unitis* autochtonów, porastać w pierze, z golców przeistaczać się w burżujów i wogóle pasożytować, a potem jeszcze wydziwiać, urągać, psioczyć, wyszydzać, obszczekiwać, obśmiewać, tych, co was przygarnęli, opluwać i rękę dobroczynną gryźć, to jest poprostu, jak się w Krakowie dawnym mawiało, paperstwo, papéerstwo.

Źle wam tam, powsinogi, to się pakować i przenosić Larwy i Piernaty na Wschód... tam, gdzie Kostek-Biernacki wojewodzi.

ADOLF NOWACZYŃSKI

[1]) „Wychylam się cokolwiek z krzesła.
— Żałuję, że nie byłem w Krakowie — mówi. Wiem, że to piękne miasto.
— Może przecież p. marszałek znajdzie wolną chwilę, aby do nas przyjechać, odpowiadam.
Rozmowa znowu rozstrzela się.
Żegna ukłonem całe towarzystwo i wywołuje ogólne zdziwienie wygłoszeniem zupełnie poprawnego polskiego zwrotu:
— Dobranoc, moi panowie, dziękuję.
Odpowiadamy chórem po polsku: „Dobranoc".
Odchodząc mówi marszałek półgłosem, jakby do siebie czy jako wytłumaczenie:
— *Ich kann ja polnisch: Ich hab ja viele polnische Diener.*
Hindenburg jest, jak wiadomo, właścicielem ziemskim w Wielkopolsce" (urywek z korespondencji p. Beaupré w „Czasie" krakowskim, dnia 2 listopada 1915 r.).

NA MARGINESIE

Dziennik żydowski „Nasz Przegląd" użala się, a może się chwali:

— „Setki wychrztów u d a j e ż y d ó w..."

Chyba to robią bez wysiłku. Ale dlaczego „Nasz Przegląd" nie podziwia żydów, którzy udają wychrztów? To jest trudniejsze i tego jest więcej.

*

Przewodniczący sejmowej komisji budżetowej poseł Byrka, zamykając pracę nad budżetem, stwierdził, że odnośnej gospodarki finansowej nie dało się zbadać, bo ona jest wskutek „skomercjalizowania" ukryta i niedostępna, jak puszcza litewska pana ministra Skarbu:

„Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice.
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje,
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk..."

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.